

poprosto

STUDENCKIE CZASOPISMO SPOŁECZNO-LITERACKIE

Wiosna kocha się najmocniej

IRENA WANIEWICZ

Radomskie mieszkanie pani Kunickiej nie było już tak obszerne jak dawniej — we dworze, którego właścicielami Kunicy byli przed wojną. Ale dość w nim było światła i miejsca dla niewielkiej rodziny składającej się z pana i pani domu oraz dorosłej córki. Jeden tylko pokój zdawał się w tym pomieszczeniu przypominać raczej ciemną komórkę, do której ślepa ściana stojącego naprzeciw domu nie dopuszczała nigdy słońca.

Mieszkankami tego pokoju były trzy uczennice miejscowego gimnazjum. Jedną z nich, Haliną Senderowską, była dziewczynką lat 15, rodem z niedalekiej od Radomia wsi Cieciorówka.

Zaczęło się od na pozór błażej sprawy firanek i nowej lokatorki. Pewnego dnia pani Kunicka weszła do pokoju dziewcząt trzymając w ręku ciężkie okienne story. Halina pierwsza sprzeciwiła się zawieszaniu na oknie ciemnych placht. I tak nie było tu za wiele światła. Oświadczenie Haliny zdumiało Kunicką. Nie przywykła do sprzeciwu.

— Jakże to — spytała — czyżbyś w tych waszych cieciorowskich kurnikach przyzwyczaiła się do wielkich okien?

W Halinie coś się poruszyło. Ale nie odpowiedziała.

W kilka dni później Kunicka wprowadziła do pokoju nową lokatorkę. Na więcej łóżek nie starczyło tu już rzeczywiście miejsca, należałoby więc odtąd spać we dwie. Nie zgodziły się. Przechodząc w chwilę potem korytarzem Halina słyszała łagodny głos Kunickiej, wyrzekający na „dzisiejsze czasy”, na „chłopskie bunty” we własnym mieszkaniu.

Jakże często zdarza się w życiu, że drobne na pozór fakty potrafią rodzić w człowieku wielkie wątpliwości. Tak było z Haliną. Od tych dwóch blahych niemal wydarzeń zaczęły się rozmyślenia.

Najwięcej bolała ją „pańskość” Kunickiej. Ta ich pogarda do niej, „ciemnej chłopki” i ta od czasu do czasu łaskawa życzliwość. To zobowiązywało do jakiejś solidarności z ludźmi z rodzinnej wsi. Powoli rodziła się chęć i niejasne

jeszcze poczucie obowiązku związanego z życia własnego ze wsią. I tak w roku akademickim 1950-51 w dziekanacie warszawskiej SGGW na liście studentów pierwszego roku znalazło się nazwisko Haliny Senderowskiej.

*

Tak się słożyło, że w tym samym czasie kiedy w radomskim mieszkaniu pani Kunickiej w Halinie rodziły się dopiero niejasne przecucia jej przyszłej drogi — w jednej ze wsi powiatu garwolińskiego żył i mieszkał chłopiec imieniem Stanisław Grudniak. Jego zyciorys, tak samo jak Haliny, zaczynał się w rodzinie chłopca datą urodzenia 1933. Tylko, że Staszek w roku 1948 potrafił już marzyć konkretnie.

Wies Staszka nazywała się Zabianka — chyba od niewielkiej rzeczki, nad którą wieczorami lubił wsluchiwać się w rechotanie żab. Staszek przychodził tu często, może nie tyle zwabiony urokiem wody, ile szerokim pięknym placem, na którym w myślach swych budował Dom Kultury.

Nie były te myśli jego wyłączną własnością. To było marzenie starszych i młodych gromady, którzy wraz z budową tego domu chcieli wprowadzić do Zabianki nieznana dotychczas radość posiadania własnego miejsca rozrywki, zabaw i śpiewu. Starzy chcieli zaznać trochę tej radości, a młodzi mieli już zacząć z nią życie.

Ale cóż, plac należał do prywatnej właścicielki, a właścicielka uparła się, że bolszewikom nie sprzeda. Owszem, przehandlowałaby, ale jakimś porządnemu gospodarzowi.

Chłopi z Zabianki rozpoczęli walkę o plac, a dla Staszka sprawa budowy Domu Kultury stała się początkiem jakichś odległych planów na przyszłość, którą zawsze wiązał w myślach z pracą na wsi, z domami kultury, z artystycznymi zespołami i z nowym sposobem gospodarowania.

W 1948 roku Staszek poszedł do gimnazjum. Razem z czerwonym krawatem i znaczkiem zetempow-

skim w klapie, nosił w sercu gorące postanowienie czynu.

W klasie było ich tylko dwóch zetempowców: Staszek Grudniak i Henryk Dąbrowski. W roku 1950 Henryk pojechał na agronomię do Charkowa, a Staszek znalazł się na warszawskiej uczelni. Na tej samej liście studentów pierwszego roku SGGW, na której widniało nazwisko Senderowskiej.

*

Trzy lata studiów i pierwsza samodzielna praktyka. Tak się składa, że jadą do tego samego zespołu PGR — Myślino.

Dyrektor zespołu wita ich serdecznie. Później w listach do Warszawy Halina pisze, że jest jak Batmanow z powieści „Daleko od Moskwy”: mądry, energiczny, dużo wymaga od siebie, ale od innych nie mniej.

Staszek Grudniak odbywa praktykę w gospodarstwie Gościno, którym kieruje dobry gospodarz, niewykształcony, ale doświadczony praktyk. Starszy uczy się od młodego agronoma nowych metod, widzi ich konieczność, ofiarowując w zamian młodemu swoje długoletnie doświadczenie rolnika.

Halina znalazła się w gospodarstwie należącym do tego samego zespołu, ale o 12 km dalej — w Koziej Górze.

Przyjeżdża tu wraz z nadchodzącym zmierzchem jednego z zimowych jeszcze dni marca. W biurze PGE mieszczącym się w dawnym pałacu, kierownik gospodarstwa — Leśny — przyjmuje ją niezbyt życzliwie i Halina czuje się trochę nieswojo, jakby niepotrzebna. Ale już w ciągu pierwszych dni przekonuje się, że jest tu dla niej ważna robota.

Nad ranem pukanie do drzwi. Budzi nocny stróż. Halina idzie do chlewni; znowu upadki prosiat. Z ostatnich miotów nie zostało ani jedno, padają i starsze. W chlewni panuje grypa. Małe zaszębiają się szybko, są nieodporne i dotychczas nie dokarmiane. Trzeba działać.

Halina idzie do kierownika i przedstawia mu swój plan. Leśny ze sceptycznym uśmiechem przyśluchuje się nowym projektom. Nie łatwo go przekonać.

(Dokończenie na str. 5-ej)

Sesja trwa...



Foto L. Olejniczak

PIĄTKA!

O sesji egzaminacyjnej czytaj poniżej i na stronie trzeciej.

Czy tylko sprawa Wacka?

Pierwszy egzamin z przedmiotu kierunkowego na sekcji okrętowych silników spalinowych wypadł pomyślnie. Trzy oceny bardzo dobre, dużo czwórek i zaledwie kilka dostatecznych. Ale nazajutrz wybuchła „bomba”. „Błyskawicę” z wynikami egzaminu zdjęto, na uczelni zaplanowała konsternacja.

— Podobno Wacek K. widział, jak Michał T. i Zbyszek G. ściągali na egzaminie.

Sprawa nabrała posmaku sensacji: Michał jest organizatorem grupy partyjnej, a Zbyszek niedawno otrzymał dyplom przodownika nauki i pracy społecznej. Na sekcji wrzowało. Wszyscy zgodnie twierdzili: Wacek chyba pomylił się. Egzamin przecież nie był trudny, a Michał i Zbyszek zawsze mieli bardzo dobre oceny z kolokwium z tego przedmiotu.

Sprawę postanowiono wyjaśnić na zebraniu. Przebiegało ono burzliwie i trwało przeszło trzy godziny. Wacek zarzutów nie odwołał, mimo iż dla wszystkich stało się oczywiste, że Michał i Zbyszek egzamin zdali uczciwie.

Kim jest Wacek? Życie miało być lekkie, a i same studia idą mu niełatwo. Wiadomości zdobywa wielkim nakładem pracy, jest bardzo pilny i ambitny, chce mieć jak najlepsze oceny. Ale mimo wszystko nie potrafi tak jak Michał i Zbyszek — którzy mniej od niego się uczą — sformułować swoich myśli i znaleźć w każdym zagadnieniu to, co jest najistotniejsze. Poza tym Wacek jest bardzo uczciwy w nauce, wszyscy znają go jako wroga wszelkich ściągawek, podpowiadań itp. sposobów, oszukiwania siebie i profesorów,

Tym razem jednak Wacek pomylił się. Niesłusznie oskarżył Michała i Zbyszkę. W dyskusji wyjaśniło się, że stosunek Wacka do nieuczciwej pracy jest płytki, nie wynika z troski o jak najsilniejszą kwalifikację kolegów, dlatego niepostrzeżenie prowadzi nieraz do zwykłej zawiści.

Wacek nie jest lubiany. Wielu uważa, że jest niekoleżeński, nie umie żyć w kolektywie. Ale na jego roku nigdy nie było zwartego kolektywu, niezbyt też starano się, aby taki kolektyw powstał. Zabrakło tu pracy wychowawczej ZMP i organizacji partyjnej. Sprawy likwidowania wzajemnej niechęci, różnego rodzaju animozji i zawiści nie były nigdy codzienną troską całego kolektywu i przedmiotem otwartych, szczerych dyskusji. I stąd moralną postawę wielu kolegów określały osobiste niechęci, nieufności, uprzedzenia.

Trudno się dziwić, że w takiej atmosferze co pewien czas wybuchają „bomby”. Trudno się dziwić, że w takiej atmosferze Wacek nie nauczył się żyć w kolektywie. Ale czy tylko Wacek? Atmosfera zawiści i swarów nie sprzyja ani dobremu postępowi w nauce, ani wychowaniu bojowych i ofiarnych ludzi.

A czym zajmuje się koło ZMP? Zarząd tego koła od dwóch miesięcy nie zorganizował nawet zebrania — odkładano je z tygodnia na ty-

dzień, aż do sesji. Atmosfera pozorowanego uspienia i zastój narasta.

I dziś zbieramy pierwsze plony. Na 38 członków grupy I zdających egzamin z ekonomii politycznej — 8 egzaminu nie zdało. W grupie II oblało egzamin również 8 osób. Wśród oblańców byli nawet członkowie partii — kto więc miał dawać przykład? To jest przykład najbardziej jaskrawy, tym jaskrawszy, że egzamin z przedmiotów kierunkowych przebiegał na ogół dobrze, chociaż i tu „wyróżnić” należy przewodniczącego koła ZMP, który nie zdał egzaminu z okrętowych turbin parowych.

Z uczuciem wstydu czytaliśmy niedawno w prasie o wspaniałym osiągnięciu młodzieżowej brygady monterskiej im. Młodej Gwardii ze Stoczni Gdańskiej, która na cześć Dnia Stoczniowa osiągnęła 600 proc. normy dzięki usprawnieniu organizacji pracy w swoim zespole. Tak walczą młodzież stoczniowa o plan. A co my robimy? Sygnałem ostrzegawczym jest list z Kędzierzyna. Nie wolno nam dopuścić do tego, aby tym razem stoczniovcy mieli uzasadnione powody do pełnych żalu wyrzutów za niewłaściwą postawę moralną - polityczną inżynierów, którzy wyjdą z naszego kolektywu.

PRZEMYSŁAW WIERZCHOWSKI
I ANDRZEJ GROSZEWSKI
Politechnika Gdańska

Zbliżają się żniwa

Partia i Państwo Ludowe nieustannie dbają o nasz wszechstronny rozwój, stwarzając nam coraz lepsze warunki studiów i wypoczynku. Dowodzą tego mamy codziennie na każdym kroku. Abyśmy mogli przez cały rok spokojnie uczyć się, abyśmy mogli też latem bezpłatnie wypoczywać w najpiękniejszych okolicach naszej Ojczyzny — potrzeba na to olbrzymich środków materialnych. Środki te w pocie czoła zdobywa dla nas robotnik, chłop, inteligent pracujący — którzy we wspólnym wysiłku wnoszą wspaniały i potężny gmach szczęścia i dobrobytu.

Niemalą trudną drogą do tego wielkiego celu. Tym bardziej, że na niektórych odcinkach olbrzymiego, ogólnonarodowego frontu pracy odczuwa się dotkliwy brak ludzi. Takim odcinkiem są Państwowe Gospodarstwa Rolne.

Wiemy, że obecnie — po II Zjeździe — rolnictwo, a zwłaszcza PGR są przedmiotem szczególnej troski Partii i całego narodu. Od rozwoju rolnictwa zależy rozwój naszego państwa, dalszy szybki wzrost materialnego poziomu życia naszego społeczeństwa. Rozumiemy tę wielką troskę — jest to ojcowiska troska Partii i Państwa o naszą przyszłość, o przyszłość naszego pokolenia.

My, studenci, nie chcemy być tylko przedmiotem tej troski. Chcemy już dziś włączyć się do pracy, którą podjął cały naród i chociaż małą część ze swego wypoczynku poświęcić na pracę tam, gdzie w okresie żniw będzie najtrudniej — w PGR. Chcemy naszymi ochoczymi rękami dopomóc w zebraniu plonów całorocznej pracy. Chcemy zdobyć przez nas wiedzę oraz piosenką i tańcem przyczynić się do podniesienia oświaty i kultury naszej wsi.

Wielkim zaszczytem dla nas — uczestników studenckich brygad żniwnych — będzie praca tam, gdzie koncentruje się główny wysiłek Partii. Świadomi jesteśmy wielkiej wagi naszego posłannictwa. Nie chcemy jednak by oceniano nas według słów. Miarą zaufania do nas, miarą patriotyzmu i oddawania sprawie Partii, sprawie Ojczyzny niech będą nasze czyny.

U W A G A !

Nie zapomnijmy o załatwieniu przed wyjazdem potrzebnych formalności. Przypominamy, że czasokres turnusów przedstawia się następująco:

- I: od 15 do 30 lipca;
- II: od 2 do 16 sierpnia;
- III: od 17 do 30 sierpnia.

Do miejscowości, gdzie znajdują się zespoły PGR należy przybyć na dzień przed rozpoczęciem turnusu. Bilety kolejowe do miejsca zamieszkania do miejsca pracy otrzymamy w każdej Miejskiej lub Powiatowej Radzie Narodowej (Referat Zatrudnienia) na terenie której będziemy znajdować się przed wyjazdem. Podstawa do wydania biletu będzie podpisana przez nas umowa o pracę zawarta z okręgiem pięćdziesiąt Komitetu Uczelnianego ZSP. Bilety powrotne otrzymamy od kierownictwa PGR w których będziemy zatrudnieni.

Uwaga ! ! ! !

W związku z trudnościami dotarcia do czytelników podczas wakacji w miesiącu lipcu i sierpniu POPROSTU ukazywać się nie będzie. Wszystkie wpłaty na prenumeratę na te miesiące zostaną automatycznie przelane na wrzesień i październik.



Foto Czapliński

Cóż to? Czy zabrakło gazu i elektryczności, czy wyrzekliśmy się nowoczesnych kuchni? Ale skądże! Po prostu o wiele lepiej smakuje posiłek sporządzony sposobem dawnej „kultury” kulinarnej. O tym przekonają się wkrótce uczestnicy studenckich wczasów wędrownych.

O WCZASACH CZYTAJ NA STR. 8

Duma Dymitra Stojewa

Do Bułgarii przyjechaliśmy tuż po VI Zjeździe Partii Komunistycznej, który odbył się na przełomie lutego i marca. Przewodnikiem naszym był Dymitr Stojew, pracownik naukowy Instytutu Ekonomiki Rolnej. Zastępujemy go naturalnie pytaniami o stosunkach na wsi bułgarskiej, która poczyniła daleko większe postępy w rozwoju socjalistycznym niż nasza.

Okazuje się, że większość chłopstwa pracującego Bułgarii przystąpiła do spółdzielczości produkcyjnej już w okresie pierwszej pięciolatki. Obecnie spółdzielczość ta obejmuje 3,5 arealu uprawowego kraju, stanowiąc główną bazę zaopatrzenia w produkty żywnościowe i surowce dla przemysłu. TKZS (spółdzielnie produkcyjne) i GZS (tak jak nasze PGR) dostarczają dwie trzecie zbóżowej produkcji towarowej. Dzięki temu — jak stwierdził Zjazd — problem zbożowy w Bułgarii został rozwiązany.

Również w dziedzinie kultur technicznych — opowiada dalej Dymitr — osiągnięliśmy poważne rezultaty. Ponad 75 proc. ogólnej produkcji bawełny, 84 proc. buraków cukrowych oraz większość części innych upraw przemysłowych pochodzi już z TKZS. Naturalnie, nie porzucamy na tym. VI Zjazd postawił nowe zadania znacznego wzrostu produkcji rolniej.

Warunkiem wykonania tych zadań jest ogromna pomoc ze strony państwa. W stosunku do pierwszej pięciolatki inwestycje w rolnictwie wzrosły 2,3 raza, a nakłady na spółdzielczość produkcyjną — trzy razy. W ostatnim roku pięciolatki MTS (tzn. nasze POM) rozporządzała 23 tys. traktorów, 5 tys. kombajnów i ponad 17 tys. pługów traktorowych.

Zapisujemy skrzętnie informacje podawane przez Stojewa i pytamy o tradycje spółdzielczości na wsi bułgarskiej. Dymitr wyjaśnia, że w Bułgarii po r. 1879 własność obszarowa w zasadzie nie istniała. Dominującym typem większej własności ziemskiej były gospodarstwa wielokulackie. Bardzo szybko następowało rozwarstwienie wsi, a zatem proletaryzacja mas chłopskich. Wielka część chłopów małorolnych musiała przestawiać się na warzywnictwo, ogrodnictwo i sadownictwo, gdyż w produkcji zbożowej nie mogła wytrzymać konkurencji kulackiej. Lecz i handel warzywami zaczęli opanowywać kupcy, którzy zdzierali skórę z producentów. I wtedy pewna część biedniaków zaczęła szukać ratunku w organizowaniu spółdzielni produkcyjnych. Lecz perspektywy rozwoju tej spółdzielczości w Bułgarii burżuazyjnej były nadzwyczaj ograniczone, gdyż silnie rozgąszczona spółdzielczość kredytowa pozostawała w ręku kulaków,

którzy — jak tylko mogli — paraliżowali próby, biedniaków wyzwolenia się z pęt kapitału lichwiarskiego. I dlatego w chwili wyzwolenia Bułgarii do spółdzielni produkcyjnych należało tylko 2 proc. chłopów. Ale — Dymitr wykonuje tutaj szeroki gest ręką — władza ludowa poparła dążenia pracujących mas chłopskich i stworzyła wspaniałe warunki.

Podczas wycieczek, których dokonywaliśmy wraz z Dymitrem, nie ominęliśmy naturalnie wielkich zakładów przemysłowych. To właśnie ich widok pozwala uświadomić sobie cały ogrom przełomu dziejowego, jaki dokonał się w Bułgarii w ciągu ostatnich 10 lat. Czyż potrzeba powtarzać, że Bułgaria była krajem wybitnie zafacowanym, nieuprzedmiotowionym, biednym... Tylko 8,2 proc. zatrudnionych pracowało w przemyśle. A już w r. 1952 produkcja przemysłowa stanowiła 55,9 proc. produkcji globalnej kraju.

Zwiedzamy olbrzymi Kombinat Chemiczny im. Stalina w Dymitrow-

gradzie, który zaopatruje cały kraj w nawozy sztuczne. Podziwiamy wzniesioną przy końcu pierwszej pięciolatki potężną hutę, która daje już setki tysięcy ton stali. Ogłamy rozwijające się fabryki przemysłu lekkiego. Dowiadujemy się, że wydajność pracy wzrosła w latach 1948—1953 o 71,3 proc., a produkcja towarów masowego spożycia — dwukrotnie.

Podziwiamy dumę Dymitra, gdy mówi nam później, że dzięki osiągnięciu sukcesom budownictwa socjalistycznego, przeprowadzono w Bułgarii — w ciągu niecałych dwóch lat — 4 obniżki cen. W wyniku trzech pierwszych dochody ludności wzrosły o 3 miliardy lewów, a czwarta przyniesie społeczeństwu bułgarskiemu 970 mln lewów oszczędności rocznie.

Zegnamy się z Dymitrem oraz wielu innymi towarzyszami z Bułgarii, przyrzekliśmy im, że o ich sukcesach opowiemy u nas, w Polsce.



Bułgarska sztuka ludowa

Mgr S. POHORYLES

W Szczecinie była Republika Rad

Z prac Koła Naukowego Marksizmu-Leninizmu przy WSE w Szczecinie

Nie ulega wątpliwości, że Koło Naukowe Marksizmu-Leninizmu przy WSE w Szczecinie sprawiło wszystkim bardzo miłą niespodziankę. Bądź co bądź wokół „ideologicznych” koł naukowych panuje na wielu uczelniach atmosfera niezrozumienia. Nie cieszą się one zbyt dużą popularnością. Główną przyczyną tego niedowładu koł naukowych marksizmu-leninizmu jest nieumiejętność doboru tematyki pracy. Często powtarza się i „rozpracowuje” zagadnienia poruszane już na wykładach, co oczywiście studentów nie bardzo pociąga. Pociągają ich natomiast perspektywa pracy twórczej, pracy odkrywczej. Niezależnie od tego mówiono — ale poważniejszych rezultatów na ogół jak dotąd nie widać.

Tymczasem Koło Naukowe Marksizmu-Leninizmu przy WSE w Szczecinie pokazało jak piękne rezultaty przynosi inwencji, oparta o współpracę z kadrą naukową uczelni.

Koło to, liczące 30 osób, zajmowało się i dotąd ważnymi zagadnieniami. Ale prawdziwe poruszenie wśród ekonomistów szczecińskich nastąpiło dopiero wte-

dy, gdy Zarząd Koła poprosił mgr S. Pohorylesa, wykładowcę WSE, o wygłoszenie referatu na temat rewolucyjnych tradycji ruchu robotniczego w Szczecinie w latach 1918—1923. Zagadnienie nowe, wprost pasjonujące. Frekwencja na zebraniu była b. duża, tym bardziej, że organizatorzy nie ograniczyli się do referatu. Na zebranie zaproszono dwóch towarzyszy, którzy przetrzymali i pozostawili w Kole twórczy ferment. Powstały specjalne sekcje i grupy, które już teraz przystąpiły do opracowywania materiału źródłowego z archiwów polnieckich, wydawnictwa „Buletynów” itd. Po wakacjach robota ruszy pełną parą.

Ponieważ praca Koła Naukowego Marksizmu-Leninizmu przy WSE może stanowić przykład godny naśladowania, zwróciliśmy się do mgr S. Pohorylesa z prośbą, by zechciał zapoznać nas choćby najogólniej z przebiegiem powstania szczecińskiego. Oto co pisze mgr Pohoryles:

(hitlerowski „Panzergeneral” obecnie już nie żyje) już wówczas proponował „Oberkommando Nord” rozpocząć ataku na Polskę — zapada decyzja. 18 maja wyrusza na Szczecin 25 Reichsbrigade pod dowództwem Generalmajora von der Lippe. Tegoż dnia Berlin otrzymuje depeszę: „Na Pomorzu, począwszy od Szczecina, panuje całkowicie republika rad”.

Walka szczecińskich komunistów wkracza w drugą, trudniejszą fazę. Robotnicy przystępują do organizacji czerwonej armii.

*

Szczecińskie powstanie ogarnęło Pomorze. Władze scheidemannowskie w Koszalinie, Słupsku, Drawsku, Bydgoszczy, w Kolobrzegu, Sławnie, Miastku, Stargardzie i in. były mocno za niepokojone długotrwałymi strajkami, które — jak pisał miasteczki Landrat — stanowiły „generalną próbę” przed powstaniem. Nie „pomagała” tu ani dywersyjna propaganda burżuazyjnej partii ludowej („Deutscher Volksvereinigung”) — późniejsza rezerwa hitlerowskich bojówek ani żadne inne środki. Gdy „Verein Hinterpommersche Landwirte” (organizacja obszarników pomorskich) zwrócił się do władz z prośbą „o przysłanie wojska do majątków ziemskich, ponieważ strajkujący robotnicy rolni otrzymują broń od robotników szczecińskich” — władze scheidemannowskie były bezsilne i doradziły obszarnikom grę na zwłokę drogą pertraktacji.

W tym samym czasie, gdy junkrzy zostali zmuszeni do ustępowania wobec żądań robotników, Regierungspräsident w Koszalinie, der Jungbaun przeżywał dni nad-wyraz ciężkie. Oto otrzymał np. tekst przemówienia ślusarza Scharckowskiego na wiecu robotniczym w Słupsku:

„Genossen! Własność prywatna jest kradzieżą. Cała własność prywatna musi być znacjonalizowana. Odszkodować w żadnym wypadku burżuazji nie wypłacę. Odrzucamy przynęty parlamentarysty. Żądamy dyktatury proletariatu na wzór rosyjskich rad!”

Te słowa były jasne, a za słowami szły czyny. Robotnicy rolni strajkowali, a jak informowali policję zdrańcy przywódcy „Deutscher Landarbeiter Verein” — „gdyby robotnicy rolni sami nie mogli sobie dać rady z obszarnikami, na pomoc przyjdą robotnicy z miasta”. Toteż władze reakcyjne nie były zbyt zaskoczone „przerządzającą odpowiedzią” jaką otrzymał pewien obszarnik od „swe-go” fornal, gdy poganiał go do roboty: „Teraz nie ma się czego bać, proszę pana. Czy to szanowny pan nie wie, że jest rewolucja?”

Tę rewolucję bała się reakcja jak ognia, tę rewolucję postanowiła zdławić za wszelką cenę. Chwytała się wszelkich środków — od ognia artyleryjskiego do dywersji wewnętrznej ruchu robotniczego. Nie pomogła również ohydne propagandy zwolnietycznej. Oto minister Reichswehry, socjalzdrajca Noske, wydaje odezwę do ludności niemieckiej Pomorza Zachodniego, która alarmuje rzekomo przygotowaniami Polski do najazdu na Słupsk. Wnioski są jasne: trzeba tworzyć formacje niemieckie do obrony przed „polskim barbarzyń-

(Dokończenie na str. 7-ej)

- 1) Komunist.
- 2) Zarząd Miejski w Szczecinie.
- 3) „Niech żyje Róża Luksemburg! Niech żyje rewolucja światowa!”
- 4) „Do Dowództwa Naczelnego 2-go Korpusu...”
- 5) Namiestnik rządu.

Gościliśmy duńskich studentów

W dnach 25.V—8.VI gościli w Polsce na zaproszenie Rady Naczelnej ZSP studentów Wydziału architektury Królewskiej Akademii Sztuk Pięknych w Kopenhadze. Goście zwiedzili m. in. Warszawę, Kraków, Nową Hutę, Toruń, Gdańsk i Lublin.

Jesteśmy w Teatrze im. Słowackiego w Krakowie. Sala powoli zapelnia się publicznością. Brakuje jeszcze kilku minut do rozpoczęcia przedstawienia.

— Czy zawsze widownia jest tak zapelniona jak dziś? — pyta nieco zdziwiony Jørgen Sestoff.

— Zawsze, a cóż w tym dziwnego?

— Kopenhaskie teatry zazwyczaj nie są zbyt licznie odwiedzane przez publiczność. Myślę, że wchodzi tu w grę stosunkowo wysoka cena biletów teatralnych. Nie przypuszczam, że za „żelazną kurtyną”, jak się u nas mówi, zainteresowanie życiem kulturalnym jest tak duże i co ważniejsze — że stwarza się tak dogodne ku temu warunki.

Po chwili milczenia ciągnie dalej:

— Zresztą, przyznam szczerze, o- pierając się na panującej u nas o-

pinii, sądziłem, że socjalizm — to taki czy inny schemat, któremu ściśle podporządkowane jest życie, twórczość kulturalna. Ogłędając w Polsce liczne nowe obiekty architektoniczne przekonałem się jednak, jak wielką rolę we współczesnym budownictwie polskim odgrywa różnorodność, i dywidualne formy architektoniczne, czego nie można oczywiście nazwać schematyzmem.

— A jak jest z tą „żelazną kurtyną”? — pytam z uśmiechem.

— Kurtynę widziałem, ale tylko... w teatrze — odpowiada niemiennie wesoło Jørgen.

Gong kończy naszą rozmowę. Gasną światła na widowni. Zaczyna się pierwszy akt sztuki Moliera „Chory z urojenia”.

*

Była już Nowa Huta, był Oświęcim. Autobus mknął teraz po serpentynach górskiej szosy. Mijane domy, wiejskie kościółki są dla naszych gości miłą niespodzianką. Nie spotkali nigdzie jeszcze podobnego stylu. Trzaskają raz po raz aparaty fotograficzne.

Zakopane wita nas pochmurną, dżdżystą pogodą. Mimo deszczu, dzień pobytu w Tatrach zszedł szybko i „pracowicie” na oglądanie zabytków, pięknych widoków Morskiego Oka i oczywiście na kupowanie pamiątek. Do późnego wieczora w świetle DW „Związkowca” przyszli architekci rozprawiali o górskich wrażliwości, o oryginalnych formach regionalnego budownictwa.

*

Tym razem pogoda dopisała. Slicznie wyglądały w promieniach słońca „dwór Artusa”, Morska Katedra i cały Stary Trakt Gdański. Duńczycy z uwagą słuchali objaśnień inż. Kwaśnego, członka kierownictwa prac rekonstrukcyjnych, który pokazywał im odbudowywane obiekty.

Wieczorem, w sopockim „Grandzie” odbyło się spotkanie z profesorami i studentami wydziału architektury Politechniki Gdańskiej, na którym mili goście otrzymali u-pominki od polskich kolegów. W

czasie jednego z licznie wznoszonych toastów Steffen powiedział:

— Jesteśmy wdzięczni za zaproszenie, dzięki któremu mogliśmy poznać wasz kraj, waszą kulturę. Opowiemy po powrocie do Danii o wszystkim cośmy tu widzieli. O tym, jak naprawdę wygląda kraj, w którym buduje się socjalizm.

*

Steffen Hein pyka ulubioną fajkę. Z właściwą sobie powagą ogląda staromiejskie kamieniczki. Po chwili milczenia, odzywa się: — Wiedziałem, że Warszawa jest zniszczona, słyszałem, że się odbudowuje. Ale to co teraz widzę, jest naprawdę zaskakujące. Zarówno tempo, które widać na każdym kroku — przy budowie MDM i rekonstrukcji Starego Miasta, jak i troska władz o nadanie waszej stolicy nowych, piękniejszych form architektonicznych. Wydaje mi się, że tylko naród, który przeszedł straszną tragedię wojny i zrozumiał jak wielkim dobrodziejstwem jest pokój, potrafi z takim zapalem i ofiarnością pracować nad odbudową i rozbudową swoich miast. Bo trzeba przypaść, że nie tylko w Warszawie widać ten rozmach. Na przykład Stare Miasto w Lublinie jest odbudowywane w równie szybkim tempie jak i warszawska Starówka.

Wracamy powoli do hotelu. Steffen kupuje w kiosku pocztówki. Mówi z uśmiechem:

— Muszę napisać do żony. Była ogromnie ciekawa, jak zostaliśmy tu przyjęci, no i oczywiście jak wygląda wasz kraj.

— Czy żona jest także studentką? — pytam.

— O, nie. Jest bibliotekarką i bardzo lubi swój zawód...

— Ale Steffena jeszcze bardziej — dodaje szybko wesoły blondynek, Søren Harboe, skłonny zawsze do dowcipkowania. Mimo to stanowią obaj z poważnym Steffenem nierozdzielna „parę” i rozumieją się doskonale.

*

Wizyta studentów duńskich w Polsce przyczyniła się niewątpliwie do większego zbliżenia między młodzieżą obu krajów. Wymiana delegacji, jak mówili nasi goście, pozwala na bezpośrednie poznanie warunków życia studenckiego, umożliwia dalszą współpracę między studentami różnych krajów.

ANDRZEJ BOLDOK

HENRYK KASSYANOWICZ

GENEWA-PARYŻ

Gdy rok temu, dn. 28 czerwca 1953 r. francuskie Zgromadzenie Narodowe głosowało nad tzw. inwestyturą dla ówczesnego kandydata

na premiera Josepha Laniela, użyskali on 398 głosów przeciwko 206, czyli o 84 głosy więcej niż wymagane minimum konstytucyjne. Nowemu kandydatowi na premiera przeciwstawiła się wówczas zdecydowanie jedynie Komunistyczna Partia Francji oraz ze względów taktycznych deputowani socjaldemokratyczni (SFIO), nie mający odwagi głosować jawnie na tego znienawidzonego przez robotników fabrykanta pólta na Lisieux. Zresztą nie było to potrzebne — wobec solidarnego poparcia, jakiego udzieliły wówczas Lanielowi wszystkie partie burżuazyjne.

Po roku rządów głosowanie, w wyniku którego znienawidzony przez naród, skłócony wewnętrznie, pozabawiony oparcia w parlamencie gabinet Laniel zmuszony był podać się do dymisji, dało wyniki odwrotne. Za rządem wypowiedziało się 293 deputowanych przeciwko 306, w tym obok komunistów — socjaliści, radykalowie, gaullisci, republikańcy, postępowi itd. Rzecz można, iż głosowanie przeciw Lanielowi stało się przebiegiem uczciwości i poczucia obowiązku patriotycznego deputowanych, niezależnie od przynależności partyjnej. Jedynie partia ministra Bidault, tzw. ruch republikański - ludowy, wyłamała się z tego solidarnego frontu głosując za rządem.

Nie pomogło tym razem Lanielowi tłumaczenie, iż jego polityka wyprzedzania Francji imperializmem amerykańskiemu była jedynie kontynuacją polityki 18 poprzedzających go kolejnych rządów francuskich i że klęska pod Dien Bien Fu jest konsekwencją wojny rozpętanej przed 8 laty przez socjalistę Bluma. Nie odniósł tym razem także skutku cyniczne pogroźki Laniel, iż w wypadku jego dymisji zażąda rozwiązania parlamentu. Wreszcie zawiodła tym razem elokwencja i dramatyczne gesty sprowadzonego specjalnie z Genewy ministra spraw zagranicznych Bidault, usiłującego przekonać zgromadzenie, iż ze zmianą rządu należy poczekać do zakończenia konferencji genewskiej.

Przeciwnie, głosując przeciwko rządowi, a w szczególności domagając się ustąpienia Bidault, francuskie Zgromadzenie Narodowe dało wyraz swemu przesvědczeniu, że właśnie teraz nadziedzi najwyższy czas, ażeby skończyć z dotychczasową polityką. Mówili o tym deputowani reprezentujący wszystkie odłamy burżuazji francuskiej, dał temu wyraz w swym wystąpieniu przywódca lewego skrzydła partii radykalnej, kandydat na premiera Mendes - France.

„Trzeba — oświadczył on — postawić jasno sprawę, że celem Fran-

cji nie jest zabieganie o interwencję amerykańską i dążenie do rozszerzenia wojny, lecz odwrócenie, powrocie kresu temu straszliwemu konfliktowi, który trwa już zbyt długo. Jak najprędzej — tak, jak to jest tylko możliwe”.

Za porozumieniem w Genewie wypowiedzieli się również gaullisci gen. Koenig, deputowani z ramienia UDSR (Union Democratique et Socialiste de la Resistance) Mitterrand, i w rezultacie spośród partii wchodzących w skład rządu „na placu boju” została jedynie „swarda przyboczna” Bidault — MRP — grożąca, iż spowoduje raczej rozpiasanie nowych wyborów aniżeli dopuszczenie do zmiany dotychczasowej polityki.

Ale upadek rządu Laniel nie jest jedynie odzwierciedleniem tego postępnego oburzenia, jakie we Francji spowodowała zdradziecka, antynarodowa, wyślugaująca się interesom Stanów Zjednoczonych polityka ministra Bidault w Genewie. Pamiętać przecież trzeba, iż nie ukrywa on bynajmniej, iż skoro tylko uda mu się „uporać” z Genewą — tzn. nie dopuścić do przyjęcia proponowanego przez rząd Wietnamskiej Republiki Demokratycznej porozumienia umożliwiającego położenie kresu brudnej wojnie — zabierze się do realizacji następnego punktu programu — do jak najszybszej ratyfikacji układu o „armii europejskiej”.

Toteż choć Laniel upadł w głosowaniu nad polityką w sprawie Indochin, jasne jest, że było to zarazem votum nieufności dotyczące całokształtu sprzecznej z interesami Francji, jej bezpieczeństwa, pragnieniami i wolą narodu, polityki rządu. Odmawiając votum zaufania Lanielowi parlament francuski pod presją oburzonego społeczeństwa francuskiego zmuszony był w istocie potępić również to, co robił jego poprzednik. [Laniel i Bidault wysługujący się bezwzględnie imperializmowi amerykańskiemu. Laniel i Bidault traktowani przez Dulles jak lokale stali się jedynie tą przysłowiową kropką, która przelała kielich cierpliwości narodu francuskiego.

Ale w tych warunkach jasne jest, że z impasem nie zdoła wyprzodkować Francji jakaś nowa koalicja polegająca na przefasowaniu tych samych figur. Muszą przyszyść ludzie pragnący szczerze wywyższyć Francję z dna klęsk, odwrócić niebezpieczeństwo odrodzenia militarysty niemieckiego, uwolnić z amerykańskiego jarzma, odrodzić gospodarstwo. Tylko taki rząd — stwierdza w swym oświadczeniu KP Francji — może liczyć na poparcie i zaufanie narodu. Tylko taki rząd będzie mógł przywrócić Francji należne jej miejsce w świecie. Kontynuowanie dotychczasowej gry, to kontynuowanie starej, złobnej, prowadzącej na skraj przepaści polityki.

W początkach grudnia 1918 roku telegrafista urzędu pocztowego w Szczecinie wystukiwał depeszę: „Do premiera rządu republiki niemieckiej, pana Scheidemanna, Berlin. Jesteśmy w śmiertelnym niebezpieczeństwie. W radach żołnierskich siedzą bolszewicy. Spartakusowcy” panują nad sytuacją w Szczecinie i powiatach. Pomoc natychmiastowa konieczna. Przysyłcie krążownik. Podpisano: Der Zentralrat in Stettin”.)

W trzy miesiące później, w początkach marca 1919 r., pod ten sam adres i od tego samego nadawcy została wysłana druga depesza:

„Krajoznik „Strassburg” nie opamiętał sytuacji, ale ją pogorszył. W stoczni „Wulkan” potężny strajk kierowany przez komunistów. Zbuntowane przez bolszewickich agitatorów masy domagają się wycofania krajoznika. Załoga „Strassburga” zdekompletowana. By zapobiec ogólnemu powstaniu, wycofajcie krajoznik”.

Przewodniczący „Zentralratu” — organu scheidemannowskiej, socjalzdradzieckiej dywersji w ruchu robotniczym — był wściekły. Po prostu wściekły. Z okien swego gabinetu widział wzniesiony nad warsztatami stoczni „Wulkan” ogromny transparent: „Es Lebe Rosa Luxemburg und Karl Liebknecht! Hoch die Weltrevolution!” — i nie mógł go zebrać. Ba, nie tylko on. Również załoga krajoznika. W mieście panują faktycznie komunisty.

— Also, Herr Vonneilich — przewodniczący zwrócił się nagle do osobnika w kazerowskim mundurze

bez dystynkcji, który od godziny siedział już w jego gabinecie — a więc musimy poszukać innego wyjścia. I na kartce papieru zaczęliśmy się pisać przezeń słowa: An das Generalkommando des 2. Armeekorps... Herr Vonneilich, organizator białogwardyjskich oddziałów do walki z rewolucją, tzw. „Zeitfreiwilligen Regiment Pommern”, kiwał potakująco głową. Ze szczecińskich ulic dochodził odgłos strzałów...

*

Dalsze wypadki potoczyły się z błyskawiczną szybkością. Nie odstraszył robotników od podjęcia walki junkierski terror wobec klasy robotniczej, w wyniku którego zostali zamordowani Karol Liebknecht i Róża Luksemburg. Wprost przeciwnie. Na próby zdławienia rad robotniczych i żołnierskich — w Berlinie, Hamburgu i wielu innych miastach narasta odzew Wielkiego Października. Również i w Szczecinie w kwietniu 1919 roku pojawiają się na murach plakaty:

„Robotnicy! Chwytajcie za broń! Stawajcie do walki!”

1 Maja wybuchła na wyspie Łasztowni potężne powstanie. Oddziały Sicherheitswehry, które usiłują je zdławić, zostają rozbrojone przez robotników na moście Sobieskiego (wówczas „Hansabücke”). Inne oddziały, które wyruszają na Łasztownię ze swego sztabu w „Ufa Palace” (obecnie gmach PDT) muszą również złożyć broń, a zdobyte karabiny maszynowe zasilać Łasztownię. Powstanie ogarnia całe miasto.

15 maja, w nocy robotnicy zaatakowali koszar. Ostatnia w mieście pozycja koalicji Zentralratu i bojówek faszystowskich pana Vonneilicha została poważnie zagrożona. Z Berlina, w którym kpt. Guderian

Spacerkiem po łódzkiej WSE

Sesja trwa!

Jaka praca takie wyniki

Już w pierwszych dniach po zimowej sesji pojawiły się na warszawskiej WSP hasła: „Od 16 lutego przygotowujemy się do wiosennej sesji egzaminacyjnej. Dobrymi wynikami w nauce witamy II Zjazd PZPR”. Był to właśnie okres przedzjazdowy. Z całego kraju napływały meldunki o podejmowaniu nowych zobowiązań, o podnoszeniu wydajności pracy.

Okres ten wycisnął również swe piętno na pracy studentów naszej uczelni. Najaktywniejsi i najlepsi składali podania o przyjęcie do Partii. W teren zaczęły docierać ekipy łączności miasta ze wsią, do hoteli robotniczych — zespoły artystyczne. Przede wszystkim zaś dał się odczuć wyższy niż w pierwszym semestrze poziom pracy naukowej. Poszczególne kolektywy studenckie współzawodnicząc o miano produkującego zespołu, wzięły się ostro do pracy.

Doświadczenia i wyniki sesji zimowej wykazały, komu należy pomóc w nauce. Wiosenna praktyka pedagogiczna pomogła poznać osiągnięcia i braki dotychczasowej pracy. Organizacja zetempowska wsluchiwała się w odcioły dochodzące z terenu, gdzie praktykanci zdawali egzamin ze swych wiadomości i nabytych umiejętności.

Wreszcie przyszła wiosenna sesja egzaminacyjna. Na naszej uczelni trwa nadal atmosfera systematycznej i rzetelnej pracy. Nie daje się jednak odczuć przysłowiowej „gorączki egzaminacyjnej”. Pierwsze wyniki świadczą o dobrym przygotowaniu studentów a równocześnie o zwiększonych wymaganiach ze strony profesorów.

Przodujący II rok historii może poszczycić się doskonałymi rezultatami swej całorocznej pracy. Na 100 osób zdających tylko 3 otrzymali oceny dostateczne, reszta — dobre i bardzo dobre. Nic więc dziwnego, że II rok sesji historii posiada wielu przodowników nauki i pracy społecznej. Do nich należy m. in. kol. Marian Chruszczewski, który jak dotąd — 6 egzaminów zdał na same piątki. Podobnymi wynikami może poszczycić się kol. Skibińska, kol. Chojnicki i inni.

Mamy jednak i niepowodzenia. Nienajlepsze wyniki uzyskują studenci fizyki, a szczególnie roku I, gdzie zdarzają się wypadki „obla-

nia” egzaminów. Nie wszyscy zdolali opanować materiał, a szczególnie umiejętność rozwiązywania zadań. Studenci tej sekcji mają dodatkowe trudności wynikające z niedostatecznego przygotowania z fizyki, wyniesionego ze szkoły średniej. Na uczelni za mało jeszcze pracowali nad sobą, a pomoc organizowana dla nich przez aktyw była często nieudolna i niewystarczająca.

Na specjalne wyróżnienie zasługują studenci sekcji filologii polskiej, którzy w okresie sesji urządzają wspólne wycieczki, razem chodzą do kin i teatrów, a nawet organizują z kolegami z sekcji historii rozgrywki sportowe. Sekcje te należą do przodujących, a ich studenci rozumieją, że obok dobrego przygotowania, odpocznik i rozrywki w czasie sesji także wpływają na wyniki egzaminu.

JAN KITA
WSP — Warszawa

O Rogowie i nieudanym egzaminie

O wyjeździe II r. leśnictwa do Rogowa, mówiło się już od kilku miesięcy. Radowaliśmy się już samą myślą i perspektywą spędzenia uupalnego maja poza murami dusznej Warszawy. Wreszcie ostatnie pożegnanie na dworcu i pociąg ruszył. Śpiewaliśmy aż do ochrypnięcia wszystkie znane piosenki, z nieodrozwinnymi w takich wypadkach „tangiem leśnika” i „wesołym pociągami”.

Czy wyobrażacie sobie nagrany majowym słońcem las, zapach igieł i świerków, lepkich jeszcze liści grabu, mnóstwo białych zawilców? Jeśli tak, to rozumiecie sami, że przyjemnie było wyciągnąć się na jakiejś polanie i czytać dobrą książkę, niż iść na ćwiczenia z entomologii.

Jednakże ciekawe objaśnienia profesora Numberga zmuszały nas do otrząśnięcia się z tego wakacyjnego nastroju. Miesiąc minął jak z bicza strzelił. Do godziny 15 pracowaliśmy w terenie, potem obiad i czas na naukę. Po ćwiczeniach z entomologii przyszła kolej na ćwiczenia z miernictwa. I wtedy okazało się, że miernictwo to wcale nie jakaś tam „nauka wyższa”, jak to z szacunkiem mówili nleliczni wtajemniczeni, ale przedmiot, który z łatwością można opanować.

Ćwiczenia terenowe zapoznały każdego z nas z instrumentami i techniką pomiaru, co pomogło ogromnie przy egzaminie. Okazało się jednak, że zbyt wielu zmarnowało czas pobytu w Rogowie, zbyt wielu bardziej ciągnął basen kąpielowy i las lub zabawa w świetlicy niż nauka.

Na skutki nie trzeba było długo czekać. Na 85 studentów naszego roku egzaminu z miernictwa nie zdało 25 osób. Winy nie ponosi egzaminator, który pytał o rzeczy stosunkowo proste. Wina leży po stronie całego kolektywu studenckiego a zwłaszcza Zarządu Koła ZMP, którzy nie potrafili przełamać majowo-wakacyjnych nastrojów oraz pomóc słabszym kolegom potrzebującym pomocy. Te pierwsze sygnały z „gieldy” egzaminacyjnej zdopingowały niektórych studentów do chwycenia w ostatniej chwili za skrypty, ale to już niewiele mogło pomóc. Zbyt dużo nas wyjechało z Rogowa z prątkiem poczuciem zmarnowanego bezmyślnie czasu.

WANDA BOGUSŁAWSKA
SGGW — Warszawa

Dziękujemy prof. Stojałowskiemu

Jak to często bywa — przed każdą sesją i na każdym roku opowiadamy sobie przeróżne historie o profesorach, o ich „konikach” egzaminacyjnych, upodobaniach itp. W takiej psychozie przystępował do egzaminu III rok wydziału lekarskiego Pomorskiej Akademii Medycznej. I to zarówno z anatomii patologicznej, jak mikrobiologii i farmakologii.

Rozpoczęła się sesja, wystraszeni i błądzi człapali studenci na egzamin. Jakąż niespodziankę sprawiła pierwsza ze zdających grup, której wyniki okazały się bardzo dobre! Od razu też przysła psychoza strachu. Na twarzach studentów czekających na egzamin z anatomii patologicznej u prof. Stojałowskiego widać było już uśmiechy. Nic dziwnego — muszę przyznać, że po raz pierwszy w mojej studenckiej ka-

rierze spotkałem się z tak przyjemną atmosferą na egzaminie. Prof. Stojałowski formułował pytania w ten sposób i z taką życzliwością, że odnosiło się wrażenie nie egzaminowania, ale dyskusji w koleżeńskim gronie.

Na 8 zdających grup zaledwie 5 osób „oblało” ten egzamin. Przeważająca ilość ocen to piątki i czwórki. Czemu to przypisać? Profesor Stojałowski wymagał od studentów gruntownej znajomości materiału i umiejętności logicznego myślenia, lecz przedtem dał nam wszelkie możliwości gruntownego przygotowania się do egzaminu. Studentom mieszkającym w Osiedlu Akademickim przekazał nawet trzy komplety preparatów histopatologicznych, by mogli lepiej się z nimi zapoznać. Zresztą przez cały rok zajęć wykłady swe popierał schematami, obrazami, pokazem preparatów itp. Zakład Anatomii Patologicznej był zawsze do dyspozycji studentów, gdzie mogli oni zwracać się ze wszystkimi wątpliwościami.

Chcemy więc już teraz złożyć tą drogą profesorowi Stojałowskiemu oraz pracownikom Zakładu Anatomii gorące podziękowania za ich trud włożony w umożliwienie nam jak najlepszych warunków studiów.

BOLESŁAW FILIPCZAK
PAM — Szczecin

Z pierwszych dni

Poszczególne grupy studenckie na WSE w Szczecinie przystąpiły już do egzaminów. Na pierwszy ogień poszedł rok I. W dniu 1 czerwca egzamin z ekonomii politycznej zdawali następujące grupy: TD-13, TK-11 i TK-1. Najgorszy przeciętny wynik uzyskała TK-1 wynosi on 3.3. Stopnie niedostateczne otrzymali: Anna Janiszewska, Krzysztof Świążyński i Lidia Kijowska. Do egzaminu z tego przedmiotu zostały nie dopuszczone 4 osoby: Edward Czerniakowski, Tadeusz Brenke, Alicja Stmigi i Barbara Jackowska. Te dwie ostatnie znane są jako notoryczne bumelantki. Ale zupełnie inaczej rzecz się ma z Edkiem Czerniakowskim, członkiem Zarządu Koła ZMP I roku, który na zebraniach wszystkich mobilizował do nauki i sesji, a sam naukę lekceważył.

Jak należy łączyć teorię z praktyką własnej nauki dowiódł inny członek ZK pierwszego roku — kol. Edward Niezgoda, który jest prymusem zarówno w nauce jak i w pracy społecznej. Takimi też są kol. Marian Zebrowski członek ZK i członek egzekutywy OOP oraz organizator grupy TK-11 kol. Falkowski. Poza nimi dobre wyniki otrzymali: kol. kol. Józef Dziewa, Teofil Fiebrant, Roman Góralski, Aleksander Sewera i Ryszard Leszczyński.

Dość dobrze wypadła natomiast grupa TD-13, z I roku transportu. Do egzaminu przystąpiło 18 osób, oblał jedynie Wacław Bogdziejewicz powszechnie znany ze swych „postępów naukowych”. Winę ponosi tu aktyw grupy, który sam uczy się dobrze, ale zapomina o pomocy dla innych.

Bardzo dobre wyniki uzyskano z podstaw marksizmu-leninizmu. Na 26 osób zdających egzamin oblała ani jedna osoba. Piątki otrzymali m. in. kol. kol. Siona i Semieniuk (korespondent POPROSTU).

Ogólnie należy stwierdzić, że sytuacja na I roku WSE nie jest zadowalająca. Niektórzy aktywnie nie tylko sami się nie uczą, ale nie zrobili również wszystkiego, by innym, słabszym kolegom i ociągającym się w nauce udzielić w odpowiednim czasie pomocy, by wyniki osiągnięte przez całą grupę nie budziły zastrzeżeń.

KLUB KORESPONDENTÓW
WSE — Szczecin

Zawiodła „metoda”

Ci, którym przed egzaminem brakuje potrzebnych wiadomości, zaprzatają sobie wolne (i niekiedy nieważne) przestrzenie w głowie różnymi pomysłami poszukując najrozmaitszych sposobów, by „jakoś tam” zdać egzamin. Niekiedy czynność ta zajmuje więcej czasu niż np. powtórzenie materiału ze skryptu czy notatek. Iż to ich głowy muszą się nieraz napracować, by wymyślić coś takiego, co pozwoliłoby... nie nie robić.

Takiej to właśnie „metody” przygotowania się do pracy pisemnej ze

statystyki postanowili spróbować trzej studenci III roku wydz. przemysłowego WSE w Łodzi: Grzegorz Woźniak, Kazimierz Świerk i Mirosław Bukowy. Ponieważ „ściągę” to rzecz już stara i nie zawsze pewna, więc wpadli oni na niecodzienny pomysł: zdobyć tematy egzaminacyjne przed egzaminem, by wkroczyć na saie egzaminacyjną — z napisaną pracą.

Ala jak to zrobić? I znów główki popracowały chwilę jedną i drugą i... wysunął projekt wykradzenia biletów egzaminacyjnych z szuflady biurka w Katedrze Statystyki. Projekt po niemałych tarapatach realizowano.

Sek jednak w tym, że asystenci szybko wpadli na ślad całej afery i po cichu doszli po nitce do kłębka. Na egzaminie ustnym wzięci w krzyżowy ogień pytań, nieprzygotowani na odparcie niespodziewanego ataku trzej amatorzy „lekkiego studenckiego chleba” złożyli broń — przyznając się do „wszystkiego”.

Gdy w dniu 10 czerwca stanęli oni przed Uczelnianą Komisją Dyscyplinarną — nie było to pierwsze ich spotkanie z jej członkami. Można by powiedzieć — starzy, do brzy znajomi. Postanowienie Komisji pozbawiło Woźniaka, Świerka i Bukowego praw studenckich na okres 1 roku, a w dzień późniejszy Plenum ZU ZMP wysunęło wniosek o wydalenie Woźniaka i Bukowego z organizacji. (Świerka usunięto już wcześniej).

Czy nie zbyt surowo osadzono „wybrki” tych trzech kompanów? Studenci łódzkiej WSE, znając ich dobrze, nie mają na szczęście takich skrupułów. Oburzenie na postawę tej „trójcy” datuje się nie od dzisiaj bo też skradzenie kart egzaminacyjnych było tylko logicznym uwiecznieniem ich przeszło dwuletniej „działalności”.

I. A. — Łódź

WIESŁAW GŁOWACKI

Wiosenno-sesyjne portrety studenckie

Przodownik



Wzbogacał swą wiedzę
Dyskusji fermentem —
Dziś jest bez dyskusji
Przykładnym studentem.

Kujon



Zakulał wciąż
Bezmyślnie pót,
Aż stał się them
Calkiem zakułym.

Pijak



Oblewał na egzaminach,
Bo lubiał zalać robaka,
W końcu przełaziła się miarka
No i wylała chłopaka.

Rys Jerzy Cwiertnia

POPROSTU 3



W tych dniach na uczelnię przychodzi się tylko na egzamin lub sesyjną gładę. Podajmy i my za wchodzącymi.



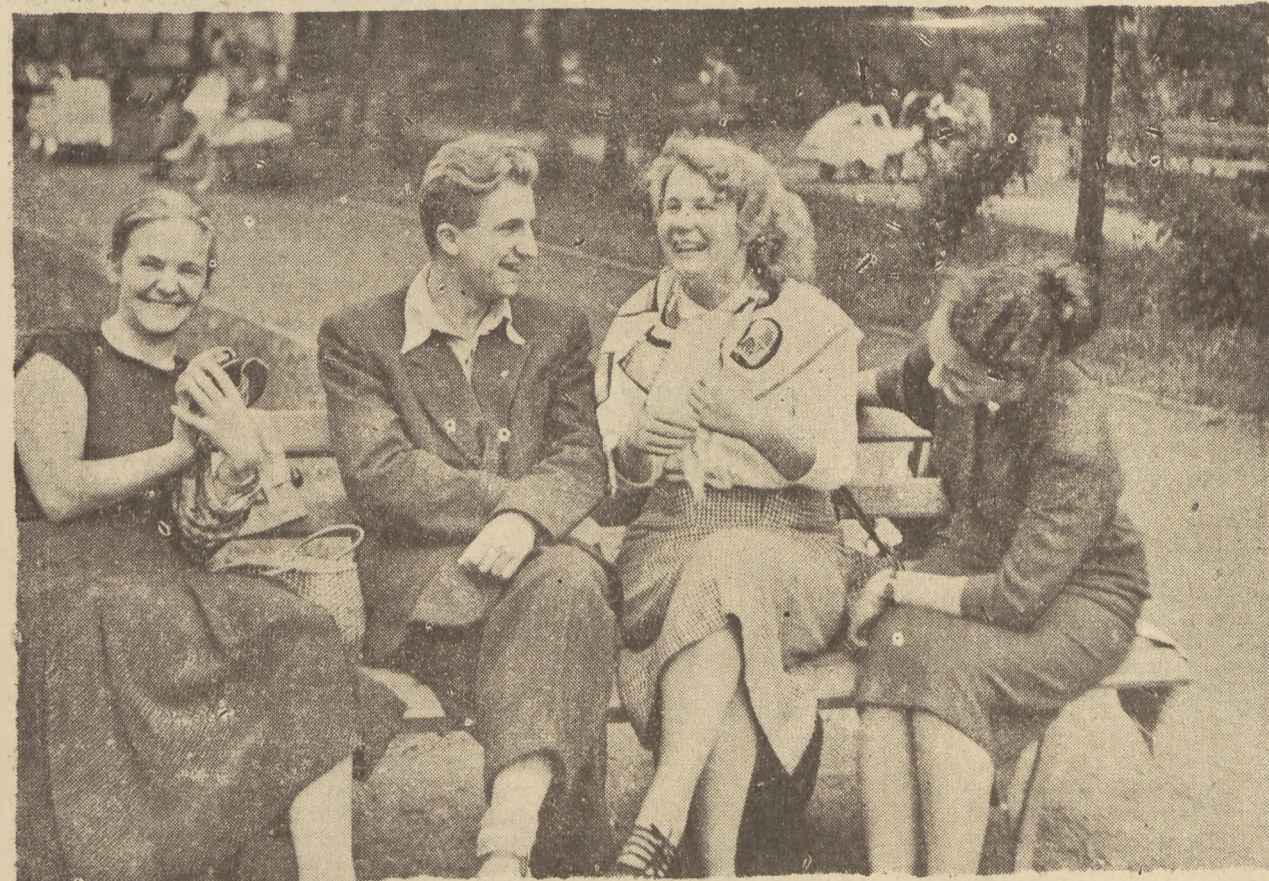
Stop! Wnęka w korytarzu na I piętrze. Tu przy stołkach zatrzymali się nasi znajomi. Co robią? To co można robić na pięć minut przed egzaminem, gdy najlepiej przygotowanemu wydaje się, że jeszcze czegoś tam nie rozumie i że nie wszystkie partie materiału ma dobrze opanowane. Przerzucają więc błyskawicznie notatki, dyskutują zażarcie i przede wszystkim denerwują się — jedni mniej, inni więcej, ale każdy choć trochę.



A oto szczytowy moment napięcia: koleżanka Halina Winięglarek z niepokojem patrzy na ręce egzaminatora wpisującego ocenę. Widocznie nie wszystkie poszło dobrze, profesor Wacław Kubic też nie wygląda na zachwyconego. Zawsze to przyjemniej wpisać piątkę, lub czwórkę niż tylko... dostatecznie.



Już po egzaminie! Uśmiech mówi co najmniej o piątce, ale w indeksie figuruje „zaledwie” czwórka. Dodajmy jednak, że egzamin z ekonomii handlu (o nim tu bowiem mowa) nie należy do najłatwiejszych.



Znajome twarze prawda? Tak, to nasi bohaterowie w kilka minut po egzaminie odpoczywają w pobliskim parku. Dziela się wrażeniami i być może umawiają się błądzić dyskretnie i pozostawiać ich samym sobie. Ale ale, przecież wy ich nie znacie a poznać ich warto. Uśmiechnięta koleżanka z lewej to właśnie ta sama, którą widzieliśmy na zdjęciu na I stronie — Krystyna Portalska z III roku wydziału handlu. Kolega Prym Audrzej nie bez powodu nosi takie właśnie nazwisko, jest prymusem w nauce i pracy społecznej. Trzecia z lewej to Joanna Lechowicz, która do nosi takie właśnie nazwisko, jest prymusem w nauce i pracy społecznej. Trzecia z lewej to Ewa Przemyśka również nie ma powodu do chowania się przed fotoreporterem: jest ładna, no i... osłaga doskonale wytki w nauce. Przodowników na łódzkiej WSE spotkaliśmy o wiele więcej niż mógł to utrwalic fotoreporter. Jesteśmy jednak przekonani, że nie będą oni mieć do nas pretensji — zresztą postaramy się i o innych kiedys jeszcze napisać. A więc — do zobaczenia! (Foto: Leon Olejniczak)

To nas też dotyczy

(Na marginesie Zjazdu Literatów)

Przez cztery dni Zjazdu Związku Literatów Polskich w referatach i w wystąpieniach dyskutantów, na sali obrad i w kulisach mówiono o wielu, bardzo wielu rzeczach. Ale we wszystkich głosach, we wszystkich rozmowach przewijała się sprawa centralna — sprawa prawdy życia w dziele artystycznym.

W walce o dobre i trwałe dzieła pisarze rozpoczynają nowe natarcie. Jego kierunek i cel określa hasło: „W imię zwycięstwa prawdy życia w literaturze”. O jego ideowym i politycznym sensie mówi zawołanie Jerzego Putramenta w drugim dniu obrad: „Bliżej ludzi”. Chodzi o to, aby wszystko, cokolwiek stworzą nasi pisarze, mówiło prawdę, było prawdziwe, a więc zgodne z rzeczywistością naszego kraju, a więc mówiące i o dobrych i o złych stronach naszego życia, a więc podnoszące do literatury rzeczywiste konflikty, problemy i trudności obywateli naszej ojczyzny. Wnioski są proste: potrzebna jest pełniejsza i głębsza obserwacja życia społeczeństwa, pełniejsze i głębsze tego życia rozumienie, mocniejsze związanie literatury z tymi sprawami spośród najgłębiej obchodzących nasz naród, które dotychczas były pomijane, albo wstydliwie owijane w pastelowej barwy celfo — potrzebna jest literatura, która na codzień będzie pomagala budować nowe domy i kształtować nowych ludzi.

Nas, najmłodszych adeptów pięknej sztuki przydatnego ludzemu pisanu, nie dzieli na ogół różnice ideowe. Jesteśmy mniej lub bardziej zaawansowani na drodze ku pisarskiej dojrzałości, mamy — jak każdy — mniej lub więcej do zrobienia w pracy nad naszym moralnym wychowaniem i politycznym wyrobieniem, zdążyliśmy zdobyć mniejsze lub większe doświadczenie życiowe i pisarskie, mniejszą lub większą życiową mądrość, ale światopogląd mamy ten sam. Jest to materialistyczny, marksistowski światopogląd naszej Partii. I zadania, które stawia przed polskimi pisarzami Partia, traktujemy jako zadania dane także i nam, dopiero początkującym, jeszcze uczącym się wszystkiego.

Mamy jakoweś — niewymierne — uprawnienie, ale i niezaprzeczalne — prawo do uważania naszych dwudziestoparoletnich sumień za wyrocznie nieklamliwe. Wyrastaliśmy w ludowej szkole i to komunistycznej organizacji, w społeczeństwie, które od ładnych paru lat weszło na drogę socjalizmu, dojrzewamy w tym społeczeństwie. Nasze najbliższe środowisko, w którym tkwimy — czy to będzie uniwersytet czy redakcja — koryguje ogólną prawidłowość naszego rozwoju. Mamy niebezpieczne prawo do zaufania wobec naszej świadomości, do wiary, że widzimy rzeczy takimi, jakie one są w rzeczywistości, że prawdziwie i słuszenie rozumiemy i wartościujemy zjawiska zachodzące w otaczającym nas świecie. Jeżeli będziemy popełniali błędy w widzeniu i rozumieniu życia, jeżeli nie potrafimy zdobyć się na pełną mądrość w stosunku do rzeczywistości, która jest dokoła nas — pomogą nam towarzysze: koledzy, starsi pisarze, redaktorzy, krytycy. Wszyscy oni — pozwólcie mi na ten pozorny paradoks — pragną, abyśmy korzystali z naszego młodzieńczego prawa do błędów. Pragną, żebyśmy byli odważni, żebyśmy nie byli „grzeczni”, żebyśmy eksperymentowali, próbowali, szukali właściwej drogi naszego indywidualnego rozwoju. Żebyśmy widzieli świat naszymi własnymi oczyma i żebyśmy opowiadali o nim naszym własnym głosem. Tam, gdzie rosły nasze ambicje — rosły i nasze osiągnięcia. Święte wiersze Hody o problematyce wiejskiej, drukowane przed niewieloma tygodniami przez „Sztandar Młodych”, „Matka i syn” Białowąsa, „Równieśnikom” Brylla — oto przykłady przekonujących. A osiągnięcia najambitniejszych z pokoleń, które wystartowało przed trzema laty — wiersze i poematy Mandaliana, satyry Litwiniuka...

Partia chce, aby pisarze zrozumieli konieczność pisania pełnej, mądrej prawdy o życiu. Jeżeli człowiek coś raz zrozumie, nie można już tego odwołać. Partia nigdy jeszcze nie odwoływała żadnej ze stawianych przed twórcami teoretycznych wytycznych. Wysuwała w zależności od konkretnych warunków te lub inne sprawy na czoło polityki kulturalnej — cel i środki zaś nie mogą ulec zmianie dlatego po prostu, że jest tylko jeden cel, tylko jedna prawda i tylko jedna droga do celu. „Nowy kurs” na pełną prawdę jest przede wszystkim wyjaśnieniem szeregu nieporozumień, które spiętrzyły się wokół pojęcia realizmu socjalistycznego.

Najmłodszy, „bez nazwiska”, nieśmiało przynoszący swoje pierwsze próby do wszechmogącej redakcji, zawsze był materiałem najpodatniejszym na wpływy zmiennych i nie zawsze dobrych upodobań zatwierdzającego do druku, zawsze najchętniej słuchali trwożliwego, nierozumiejącego celu naszej pracy krytyka. Rezultaty — wiadome. Tak często wyszydzone przez czytelnika, potępione przez ludzi, dla których literatura jest sprawą obywatelskiego sumienia... Czas wziąć na siebie pełną odpowiedzialność za to, co się pisze, za to czy ma się coś do powiedzenia.

Dwukrotnie rozmawiałem na Zjeździe z pewnym młodym poetą — pierwszym i trzeciego dnia obrad. Przy pierwszym spotkaniu mój rozmówca pochwałował nową powieść Erenburga „Odwilż”, którą właśnie niedawno przeczytał. Po dwóch dniach całkowicie zmienił zdanie — któryś ze starszych pisarzy powiedział, że Erenburg nie zachowuje właściwych proporcji negatywów i pozytywów. Okazało się, że nieposiadający własnej wagi aptekarskiej mój rozmówca-równieśnik nie właściwie samodzielnie nie potrafi o przeczytanej książce powiedzieć, że przypomina owych redaktorów z Majakowskiego, którym „poda się” lub „nie podoba się” w zależności od zachodzących w jakiejś metafizycznej płaszczyźnie zmian bliżej nieznanym kryteriom oceny utworu. Ciemne i jasne strony życia w utworze literackim muszą być takie, jakie są w rzeczywistości: ciemne — wegetujące, choćby nawet wuijale, choćby jeszcze nawet kwiitujące mimo podciętych korzeni. Jasne — rosnące, utrwalające się z miesiąca na miesiąc, choćby nawet jeszcze słabe, choćby jeszcze przyglądane przez chwały. Pragniemy, aby nasz handel detaliczny był zaopatrzony we wszystkie potrzebne czelowiekowi artykuły, także i w różowy lakier (mój przyjaciel pomalował takim lakierem odrapane łóżko — wyglądało to nawet możliwie) ale w literaturze artykuł ten jest nieprzydatny.

Nie wierzę, żeby mój rozmówca, ów młody poeta, mógł napisać przy obecnej płynności swoich poglądów dobry wiersz. Bowiem konieczna jest również samodzielność i odpowiedzialność w poglądach na literaturę. Przywykliśmy niekiedy do paradoksalnej sytuacji, w której poeta dawał „warsztat”, „formę” a „treść” otrzymywał w redakcji, na zebraniu Koła Młodych, brał ją sam z referatów i pism. Poeta miał ambicję, żeby wiedzieć „jak” najlepiej napisać, o to „co” ma napisać troszczyli się inni.

Nie obarczajmy przesadną winą redaktorów. Nie oni tworzą literaturę, nie oni biorą odpowiedzialność przed czytelnikiem. Jesteśmy winni przede wszystkim mi. Pozwólcie mi napisać: b y ł i ś m y i winni my.

Pora skończyć z cukierkowymi, „typowymi” życiorysami naszych bohaterów. Czyżby poezja była tylko malowaniem ładnych przerywników i ilustracyjek do słusznych tez historycznych o społecznym awansie?

Bernstein, Śliwiak, Białowąs, Stanuch — bierzmy pełną odpowiedzialność. Co macie do powiedzenia równieśnikom?

Bester — co ciekawego szykujecie o uści?

Bryll — śmiecie! Zawikłanych sprawach Twojego roku. Czy nie nie napiszesz po tylu nocach żarliwie przegadanych nad sprawami przecie ż trudnymi?

Do roboty, chłopcy!

Wielki dzień stulecia Miśtra Solskiego mamy już poza sobą. Szczęśliwcom, którzy 5-go czerwca znaleźli się na widowni Teatru Polskiego w Warszawie, brzmią jeszcze w uszach nie kończące się owacje, przypominają sobie dławiące wzruszenie, jakiego doznali tego pamiętnego wieczoru. Gmach Teatru Polskiego nie mógł pomieścić wszystkich. Toteż kolo radiowych wozów transmisyjnych skupiła się gromada tych, którym, mimo najprzemysłniejszych sztuczek, nie udało się dostać do wnętrza.

Najkapitałniejszym jednak rysem tego jubileuszu był fakt, że w niewypowiedzianym zdumieniu podziwialiśmy przede wszystkim nie fenomenalnego człowieka — ale wielkiego aktora, wiecznie wielkiego artystę. Miał rację sprawozdawca radiowy, kiedy powiedział, że Solski grający Dyndalskiego w IV akcie „Zemsty” przeszedł tego wieczoru samego siebie.

Spróbujmy w nieudolnych słowach (bardzo trudno jest opisywać piękną, lecz ulatującą, przemijającą sztukę aktorską) dać chociaż cień wyobrażenia o tym, jaki był ów ostatni Dyndalski Ludwika Solskiego.

Solski był i jest jednym z najwspanialszych w naszym teatrze aktorów „fredrowskich”. Pierwszą jego wielką rolą fredrowską był Papkin — także w owym czwartym akcie „Zemsty” — w składanym przedstawieniu inauguracyjnym na otwarcie nowego teatru w Krakowie, przy placu św. Ducha. Był to rok 1893... Jedną z historycznych dat w dziejach naszej sceny.

Rolę Dyndalskiego grywał Solski niezliczoną ilość razy, w najrozmaitszych inscenizacjach największej komedii Fredry. Po raz pierwszy w teatrze krakowskim, za własnej dyktacji, tzn. w latach 1905—1913. Ostatnio — w tymże teatrze w roku 1945. Tym razem miał ją zagrać w „Zemście” szczególnej, nowatorskiej, prawdziwej — w znakomitym przedstawieniu stworzonym rok temu przez Bohdan Korzenińskiego w Teatrze Narodowym i oznaczonym Nagrodą Państwową. Można się było trochę niepokoić czy Mistrz Solski nie będzie się wylamywał ze stylu tej inscenizacji, czy nie powstanie całość dość dziwaczna. I cóż się stało?

Solski przyjechał do Warszawy dnia 1 czerwca. Tego samego jeszcze dnia, po południu, odbył z Bohdanem Korzenińskim konferencję na temat swego udziału w przedstawieniu „Zemsty” Teatru Narodowego. Następnie w dniach 2, 3 i 4 czerwca wziął udział w trzech próbach — 5 czerwca grał już na jubileuszu. Sprawozdawcy prasowi bardzo szczegółowo informowali czytelników o wszystkim co Solski robił od chwili przybycia z Krakowa. Ktoś z nich napisał: „Mistrz zaakceptował koncepcję przedstawienia, w którym będzie występował i wzbogacił ją kilkoma własnymi pomysłami i cennymi wskazówkami.”

Przedstawienie było zaskakujące — wszelkie obawy i wątpliwości przysły. Zostało zdumienie i zachwyt. Ostatni Dyndalski Solskiego był inny, nowy, wspaniały w swej prawdziwości, wykonany po mistrzowsku. Zagrał go Solski bez szczególowej charakterystyki i bez peruki, jak to zwykle grywał Dyn-

„Kocha się — bo się kocha. I najczęściej trudno wymienić „detalicznie” — za co...”

Z moim uczuciem wobec książek jest podobnie. Nie potrafię powiedzieć dlaczego są mi tak bliskie. Ze wzruszają? Bawią? Uczą? Ze się do nich przyzwyczailam? O tak, na pewno. Ale to przecież dopiero częsteczka argumentów mojej „miłości”.

Niedawno uprzytomniłem sobie jeszcze jeden argument. A o co chodzi — opowiem.

Rzecz dotyczy pewnej szczególnej kategorii książek. Tych mianowicie powieści czy nowelek, które zawierają w swych tekstach tak zw. złote myśli. Czytelnik wie z pewnością o co chodzi. Na wszelki wypadek zaaplikujemy parę przykładów:

„...ten co raz już wierzył przestał nigdy naprawdę potem nie wierzyć” (Z „Pogadanki” — Żmichowskiej).

„Porządek to nie znaczy czynić to co się chce, ale to co czynić potrzeba” (Rolland: „Colas Breugnon”).

Nie wszyscy autorzy przetykają swe utwory „złotymi myślami”. „Złota myśl” jest najczęściej komentarzem pisarstwa do wypadków mających w utworze miejsce. Są pisarze, którzy z takich komentarzy — uogólnień rezygnują. I to oczywiście w najmniejszym stopniu nie obniża wartości ich dzieł.

„Złote myśli” jednak sprawiają mi wielką radość. Wypisuję je do swego dziennika lektury, wielu uczę się na pamięć. Dlaczego? Ano — sięgniemy znów po przykłady!

Czytając swego czasu „Madame Bovary” Flauberta trafiłem na taką oto myśl:



Ludwik Solski w roli Dyndalskiego na jubileuszowym przedstawieniu w Teatrze Polskim w Warszawie.

dalskiego dawniej. Dał mu własną twarz (ucharakteryzowaną bardzo dyskretnie i nieznacznie) i własne włosy, swą siwutką lecz bujną czuprynę. Dał mu poza tym cechy już nie własne: przygarbienie i starczy sposób chodzenia. Tak, tak! To nie są żarty. Solski celowo postarzał się chwilami jako Dyndalski. Widziałem go na próbie, widziałem jak chodził po scenie przed „wejściem w rolę” — wyprostowany, rzeźki, z rękami wsuniętymi za pas. Widziałem jak sprawdzał czy wszystko jest przygotowane, czy stół stoi tak, że będzie miał swobodę ruchów, czy na arkuszach, na których będzie pisał list, tekst wypisano, czy „żyda” zrobiono — żądał od rekwizytora, aby gęsie pióra były odpowiednio zastrzone. Jak uważnie przyglądał się dekoracji Wł. Daszewskiego i sprawdzał szczegóły razem ze scenografem. Cześnikowi — Kurnakowiczowi dawał wskazówki co do szczegółów kostiumu i gestu (do szabli ma się porwać kiedy już stoi, a nie idąc!). Kiedy się raz pomylił (przetawiał słowo) powtarzał całą scenę od nowa wraz z mejącym schylaniem się po podarty list.

A kiedy „wszedł w rolę”? Przypomnijmy sobie: pierwsza scena czwartego aktu „Zemsty”; Cześnik wysłał Smigalskiego, aby sprosił gości na wesele, a potem wydaje polecenia kucharzowi Perelce. Dyndalski — „marszałek Cześnika” jak go określa tekst, stoi obok swego pana. Solski z wielką chustką w jednej ręce i tabakierką w drugiej przywołuje gestem Smigalskiego, potem go odprawia, a przyzywa Perelkę, potem jemu daje znak odejścia. Żyje w roli od początku, chociaż nie nie mówi, jest tym Dyndalskim przez cały czas, ani na chwilę nie wylacza się ze scenicznego życia. Zawsze był Dyndalskim czynnym, działającym — tę cechę postaci jeszcze bardziej wzmocni-

w tym przedstawieniu. Dalej — pomysł Solskiego. Cześnik ogląda i wypróbuje podawane mu przez Dyndalskiego szable. W dotychczasowych przedstawieniach Kurnakowicz ścinał demeszką świecę stojącą na stole. Solski zaproponował aby Dyndalski także dobył jednej z szabli i parę razy złożył się z Cześnikiem, przypominając jemu i sobie dawne, awanturnicze czasy, kiedy szablą wiernie służył pewnie swemu patronowi. I jak się Solski składał! Aż bałem się o całość Jana Kurnakowicza.

Przypomnijmy dalsze sceny z Dyndalskim. Papkin „otruty” przez Rejenta zaczyna przechadzać Dyndalskiego: „Ach Dyndalsiu, cny człowiecze! Ach powiedzcie, czy być może?” — Na próbie wynikało małe nieporozumienie. Dyr. Korzeniowski chciał, by Papkin zauważył Dyndalskiego dopiero wtedy, gdy weźmie on zostawione na stole szable i będzie wracał. Solski na to: Jak to? Przecież ja tu teraz mam z nim rozmowę i zażywam tabakę. — Zdziwiliwaczo prosty i logiczny argument — z szablami na rękach trudno byłoby zażywać, a w tekście jest wyraźna wskazówka co do tej tabaki. Trzeba jednak zobaczyć jak to Solski robi! Pochylony do przodu, na rozbawionych nogach powoli, z zastanowieniem: „Otrul! — proszę! — co za psota! Ha! Po księdza posłać trzeba —”. Do Papkina ma stosunek pełen wyższości, nawet ironii, nie lubi go.

Potem pisanie listu, pełne komijnego skupienia i poczucia ważności spełnianej roli. Dalej, zbieranie szczątków podartego przez Cześnika w pasji pisma, składanie kawałków i mozolne, głębokie, trochę użalone zastanawianie się: „Co on sobie — tylko proszę — mógł do tego B upatrzeć?” A przybycie Rejenta, którego wita sam Dyndalski medytujący nad

kawałkami listu? Solski bynajmniej nie przestrasza się, daje przybyszowi groźnię i pewnie brzmiać radę: „Ej, laskawy mój Rejencie, nie wyzywaj go na ciebie...” a potem z satysfakcją i złośliwym śmiechem odpowiada na pytanie, kto wesele tu obchodzi — „Rejentowicz!” Kiedy zaś wchodzi Cześnik, Dyndalski Solskiego wskazuje mu przybyłego przeciwnika i staje w pozie wyciekającej.

Wreszcie samo zakończenie, które zostało zmienione specjalnie dla jubilat. Papkin zwraca się nie do Cześnika, a do stojącego pośrodku Dyndalskiego: „Teraz wzywam waszmożnego pana! Każ nam przynieść rozruchana...” A kiedy Cześnik, widząc, że jego zemsta wzięła w łeb, zrezygnowany wyciąga rękę do Rejenta: „Mocum panie z nami zgoda!” — nie Waclaw, ale Dyndalski podchodzi do obydwóch ze słowami „A Bóg wtedy rękę poda”. Solski bardzo specjalnie wypowiada te słowa. Nie jako wyzniosły i nabożny moral — mówi je powoli, z komicznym namysłem, z charakterystycznym przeciąganiem sylab, tak jak wszystkie swoje kwestie. Przy tym sposobie mówienia ani na chwilę nie gubi wiersza. (Teraz, kiedy czytam tekst, brzmi mi w uszach każda intonacja Solskiego). Reżyser, dyr. Korzeniowski miał zawsze kłopot z tymi słowami. Nie jest to przecież jakieś dydaktyczne zamknięcie „Zemsty”, nie mogą zabrznieć one jako końcowy morał tej świetnej komedii, żegnającej śmiechem dla nas dawno już odeszły w przeszłość, ale i dla Fredry już odchodzący świat szlacheckiej przeszłości Polski. Mistrz Solski nie tylko w lot pojął nowe, właściwe odczytanie „Zemsty”, ale przyszedł temu odczytaniu niespodziewanie i odkrywczo w niespodziewanie!

ANDRZEJ WŁ. KRAL

wem nowych międzyludzkich stosunków, pod wpływem w y c h o w a n i a.

I oto — dochodzę do wniosku: gdy S. przyszedł na uczelnię, organizacja nasza nie potrafiła w dostatecznym stopniu pokierować jego rozwojem. Wzięło górę domowe, drobniomieszczuchostwo z tą, cytowaną wyżej, cechą.

Muszę przyznać, że dopiero „Złota myśl” Flauberta pomogła mi to wszystko zrozumieć, uogólnić z całą

Czyście zauważyli ile aktualnej prawdy życiowej kryje się w tych słowach?

Znam dobrze takie grupki ludzi — młodych i starszych, wiecznych malkontentów, kwękaczy, pesymistów. Ze sobą czują się dobrze — mogą narzekać, utyskiwać i co ciękawsze, nigdy im nie wpadnie do głowy, że to od nich samych zależy, aby życie zmieniło się dookoła. Muszę przyznać, że ostatnio coraz częściej uciekam od takich ludzi ale też prawda to wielka — w zet-

Złote myśli

(z dziennika lektury)

precyzją. Stało mi przy tym w pamięci wiele podobnych zasłyszanych lub zaobserwowanych zdarzeń.

Wyczytałem też kiedyś u Rollanda w „Janie Krzysztofie”, że „nie tak nie zbliża małych dusz cierpiących, a niezadowolonych jak stwierdzenie wspólnej niemocy. Jednocześnie nie bardziej nie przywraca ochoty do leżyżny ludzom zdrowym i do życia stworzonym, jak zetknięcie się z tym głupim pesymizmem ludzi miernych i stałych, którzy dlatego, że nie są szczęśliwi chcieliby wszystkim szczęścia zaprzeczyć”.

Spotykam też „złote myśli”, które budzą mój zdecydowany sprzeciw, ale to równie pożyteczne, bo aby się sprzeciwić, trzeba wynaleźć argumenty... Znajduję np. w „Quo Vadis”, że „Wojna i miłość są dwiema jedynymi rzeczami, dla których rodzic się i żyć warto”. U tegoż Sienkiewicza

O młodych miłośnikach teatru i milczeniu pewnych ministerstw

Poloniście, który naprawdę kocha teatr i pragnie pogłębić swoją wiedzę o sztuce teatralnej, dramacie różnych epok i kierunków literackich, nie mogą wystarczyć same studia uniwersyteckie. Dlatego niewielka grupa młodych entuzjastów dramatu z polonistyką UJ z prawdziwym zapałem przystąpiła do zorganizowania w sesji zimowej sekcji teatru. Żywot naszej sekcji datuje się więc dopiero od kilku miesięcy. Tym bardziej na podkreślenie zasługuje fakt, że może się ona poszczycić kilkoma przez siebie zorganizowanymi imprezami, zebraniem naukowymi i wyprawami do teatrów krakowskich.

Celem pracy naszej sekcji jest przede wszystkim analiza inscenizacji sztuk wystawianych w teatrach krakowskich. Nie znaczy to, że nasze zainteresowania ograniczają się tylko do aktualnych zagadnień repertuarowych. Już pierwsze zebranie poświęciliśmy zapoznaniu się z tzw. „metodą działań fizycznych” Stanisławskiego. Aby lepiej poznać pracę aktora nad rolą, kilku przedstawicieli naszej sekcji zaznajomiło się z tym zagadnieniem od strony praktycznej na zebraniu Koła Naukowego przy PWSA w Krakowie.

Warto dodać, że nawiązały się przyjazne stosunki między Kolem Naukowym przy PWSA i sekcją teatralną przy UJ. Kol. Gradowski z PWSA chętnie udziela nam fachowych informacji o trudnej pracy nad inscenizacją sztuki teatralnej. Są to dla nas bardzo cenne wskazówki, tym bardziej, że my, poloniści, patrzymy na dzieło sztuki scenicznej przede wszystkim od strony jego wartości literackiej.

Sekcja teatru utrzymuje ścisły kontakt z dyrekcją teatrów krakowskich, otrzymuje bilety na próby generalne. Szczególną życzliwością otacza nas dyrektor Sztefkiński.

Po obejrzeniu sztuki, na następnym zebraniu dyskutujemy nad jej inscenizacją i oceniamy recenzje napisane przez członków naszej sekcji. Dyskusje nad wystawieniem „Ślubów panieńskich” w teatrze im. Słowackiego i nad „Snem nocy letniej” wystawionym w Teatrze Poezji można zaliczyć do dyskusji stojących na bardzo wysokim poziomie.

W programie działalności naszej sekcji mieszczą się także zagadnienia jak: polityka repertuarowa z okresu 20-lecia międzywojennego, historia teatrów krakowskich. Studiowanie tekstów sztuk, recenzji i opracowań uzupełnia naszą pracę. Koledzy: J. Kajtoch, A. Bilewicz, J. Mirosz i R. Cierpień podejmują ambitny temat do opracowania: „Działalność teatru im. W. Bogusławskiego na terenie Krakowa w latach 1924/26”. Jest to praca zaplanowana na okres wakacyjny.

Sekcja nasza ma wielkie ambicje, wykazuje wiele energii i inicjatywy. Na ostatnim zebraniu, 11 maja br. padł wniosek, aby wystosować do Ministerstwa Szkół Wyższych petycję o utworzenie przy filologii polskiej specjalizacji teatrologicznej.

**RYSZARD CIERPIEŃ
UJ — Kraków**

W odpowiedzi na Wasz list zamieszczamy wypowiedź Koła Młodych Krytyków Teatralnych przy Zarządzie Głównym SPATiF-u w sprawach Was interesujących.

Red.

„niepoprawni teatrologi” znaleźli opiekę i poparcie w Stowarzyszeniu Polskich Artystów Teatru i Filmu. Na jesień ub. roku z inicjatywy red. Csató przy poparciu zawsze życzliwego młodzieży, nieodżałowanego Leona Schille- ra — powstało przy Zarządzie Głównym SPATiF Koło Młodych Krytyków Teatralnych. Na naszych zebraniach dyskutujemy sprawy teatru, dramatu oraz zagadnienia „warsztatowe” krytyka teatralnego. Dokładniejsze sprawozdanie z pracy koła ukaże się wkrótce na łamach „Teatru”.

Mimo milczenia Ministerstw, na UW są jednak „pierwioski nauki o teatrze”. Ale niestety z seminarium prof. Jana Kota: „Teatr i dramaty Oświecenia” oraz „Dramat romantyczny” korzystać może niewielkie osób (dwie grupy z II i IV roku).

Droży Koledzy! W związku z Waszą pracą na terenie Krakowa radzimy Wam

nawiązać kontakt z krakowskim oddziałem SPATiF i z krakowskimi krytykami teatralnymi. Warszawscy krytycy, jak Edward Csató, Wojciech Natanson, Stefan Treugutt czy Jerzy Pomianowski, odnoszą się do nas życzliwie. Przypuszczamy, że i Wy znajdziecie w Krakowie pomoc i dobrą radę.

Prosimy Was o nawiazanie korespondencji i jednocześnie zwracamy się z apelem do wszystkich kolegów w Polsce interesujących się krytyką i nauką o teatrze, by organizowali w swoich ośrodkach uniwersyteckich sekcje czy koła teatru i dramatu. Żeby rozwijać i szerzyć wśród młodzieży zamiłowanie do teatru, którego rola w naszej kulturze stale wzrasta, potężnieje.

I piszcie do nas. Adresujcie listy do SPATiF bądź do POPROSTU. W imieniu Koła Młodych Krytyków Teatralnych przy SPATiF.

Jerzy Timoszewicz

Przed naszymi mikrofonami



„Tu mówi radiowóz Uniwersytetu Warszawskiego... Kierownik radiowozu kol. Zybert podaje program audycji. Hanka odczyta za chwilę pogadankę literacką.

I leż raz w ciągu roku akademickiego słyszymy przez głośniki dobrze znaną zapowiedź: „Tu mówi radiowóz uczelniany”.

I leż raz denerwujemy się złym odbiorem, jak często wreszcie cieszy nas dobra muzyka czy ciekawe słuchowisko.

W tej chwili pracuje kilkadziesiąt studenckich radiowozów na uczelniach i w Domach Studenckich. Niektóre z nich obsługują uczelnie i DS jednocześnie, jak np. radiowóz AM w Białymstoku czy WSR w Olsztynie. Jasne jest, że ten ostatni typ radiowozu posiada obiektywnie najlepsze warunki pracy, gdyż jego audycje docierają do pokoiów zradiofonizowanego DS, są słuchane w stołówce i w korytarzach uczelni w czasie przerw. Takie warunki, które musimy uznać za najlepsze, zmuszają kolektyw radiowozu do specjalnego stylu pracy, stawiają przed nim o wiele większe wymagania niż przed tymi radiowozami, które pracują, powiedzmy, tylko dla stołówek.

Ale niestety, tak się przeważnie dzieje, że radiowoz mający największy zasięg oddziaływania na słuchacza i najlepsze warunki pracy nie są doceniane przez organizację młodzieżową, nie posiadają odpowiednich kolektywów, a praca dwóch czy trzech osób musi sprowadzić się jedynie do transmitowania programu ogólnopolskiego, ewentualnie do nakładania na adapter znanych już wszystkim płyt. Studenci zaś, którym praca takiego radiowozu nie daje, nie starają się nawiązać z nim współpracy.

Ważny dla przykładu radiowóz WSR — Olsztyn w Kortowie. Mając możliwość jednoczesnego docierania do stołówki, pokoiów DS, czy też na dziedziniec uczelni, mógłby on stać się decydującym czynnikiem w organizacji życia na uczelni: mógłby krytykować błędy w pracy organizacji przez audycje satyryczne, chwalić osiągnięcia, zwracać uwagę studentów na najważniejsze aktualne zagadnienia, pomagać im w codziennej pracy przez audycje literackie czy naukowe. Ale od dwóch lat, to zn. od czasu opuszczenia uczelni przez dawną, energiczną kolektyw radiowozu, nikt nie postarał się o skompletowanie nowego zespołu. Komitet Uczelniany ZSP poszedł po najmniejszej linii oporu mianując kierownikiem radiowozu absolwenta WSR, w którego mieszkaniu znajduje się cała aparatura (domagająca się zresztą

aparatyrem remontu). Nie może on poświęcić się bez reszty tej odpowiedzialnej i trudnej pracy, a zdany tylko na własne siły niewiele potrafi zdziałać.

Nie lepiej ma się sprawa z radiowozem DS im. Hanka Sawickiej w Poznaniu. Tu aparatura jest niezła, warunki pracy dobre. Cóż z tego, jeżeli liczny kolektyw radiowozu ogranicza się jedynie do nadawania muzyki z płyt, komunikatów i czegoś bliżej nieokreślonego, co figuruje w zeszycie sprawozdawczym pod datą 23 kwietnia br. jako: „dowcipy”.

O wiele więcej inicjatywy i pomysowości w opracowywaniu programu przejawia radiowóz Uniwersytetu Warszawskiego, pracujący w dość trudnych warunkach technicznych, nadający audycje tylko dla stołówek, w godzinach wydawania obiadów. Jakich tu już form nie próbowano? Nadawano reportaże dźwiękowe z życia uczelni, próbowano różnych rodzajów studenckiej „Muzyki i aktualności”, starano się opracowywać w ciekawy sposób wiadomości z prasy. Radiowóz opracowuje też niektóre audycje wspólnie ze słuchaczami w celu uatrakcyjnienia programu.

Jak widać choćby z przytoczonych przykładów, przyczyna złej czy dobrej pracy radiowozów nie zależy głównie od ich sprawności technicznej. Kolektyw każdego radiowozu musi wiedzieć po co, oraz dla kogo pracuje. Musi zdawać sobie sprawę z propagandowo — wychowawczego charakteru swej pracy. Musi odważnie krytykować to, co jest złe na uczelni i propagować najlepsze osiągnięcia.

Jak dotąd, pracę wszystkich naszych radiowozów cechuje właśnie brak odwagi. Radiowozy piętnują słabą pracę „Błyskawic”, nieporządek w stołówkach, ale pomijają milczeniem tak częste zjawiska, jak np. zdarzający się jeszcze biurokratyzm w instancjach uczelnianych organizacji młodzieżowych, bałagan czy wreszcie niewłaściwy stosunek do studenta. W audycjach satyrycznych z terenu uczelni nie słyszy się nic o pracy dziekanatów, czy też katedr naukowych a przecież są wszędzie braki i błędy, które trzeba i należy piętnować. Jest też wiele pięknych osiągnięć w pracy ZMP, w grupach studenckich, katedrach,

IGOR KARSEN

Rómieśnikom

Ze nas życie przerasta, że serce bije w piersi niby młot ognisty, to dlatego czyn musi być wielki i wiersz musi być jasny jak kryształ.

Ze tak wielka praca się poczęła i trudności slosem się wciąż piętrzą, to dlatego trzeba słów jak ostrzy, by broniły rzeczy najpiękniejszych.

Lecz gdy słowo czynu nie wyrazi, będzie tylko wołaniem żurawi — lepiej milczeć niż śpiewać tak słabo. Próżne słowo niech warg nie plu, awi.

kapitałnego remontu). Nie może on poświęcić się bez reszty tej odpowiedzialnej i trudnej pracy, a zdany tylko na własne siły niewiele potrafi zdziałać.

Nie lepiej ma się sprawa z radiowozem DS im. Hanka Sawickiej w Poznaniu. Tu aparatura jest niezła, warunki pracy dobre. Cóż z tego, jeżeli liczny kolektyw radiowozu ogranicza się jedynie do nadawania muzyki z płyt, komunikatów i czegoś bliżej nieokreślonego, co figuruje w zeszycie sprawozdawczym pod datą 23 kwietnia br. jako: „dowcipy”.

O wiele więcej inicjatywy i pomysowości w opracowywaniu programu przejawia radiowóz Uniwersytetu Warszawskiego, pracujący w dość trudnych warunkach technicznych, nadający audycje tylko dla stołówek, w godzinach wydawania obiadów. Jakich tu już form nie próbowano? Nadawano reportaże dźwiękowe z życia uczelni, próbowano różnych rodzajów studenckiej „Muzyki i aktualności”, starano się opracowywać w ciekawy sposób wiadomości z prasy. Radiowóz opracowuje też niektóre audycje wspólnie ze słuchaczami w celu uatrakcyjnienia programu.

Jak widać choćby z przytoczonych przykładów, przyczyna złej czy dobrej pracy radiowozów nie zależy głównie od ich sprawności technicznej. Kolektyw każdego radiowozu musi wiedzieć po co, oraz dla kogo pracuje. Musi zdawać sobie sprawę z propagandowo — wychowawczego charakteru swej pracy. Musi odważnie krytykować to, co jest złe na uczelni i propagować najlepsze osiągnięcia.

Jak dotąd, pracę wszystkich naszych radiowozów cechuje właśnie brak odwagi. Radiowozy piętnują słabą pracę „Błyskawic”, nieporządek w stołówkach, ale pomijają milczeniem tak częste zjawiska, jak np. zdarzający się jeszcze biurokratyzm w instancjach uczelnianych organizacji młodzieżowych, bałagan czy wreszcie niewłaściwy stosunek do studenta. W audycjach satyrycznych z terenu uczelni nie słyszy się nic o pracy dziekanatów, czy też katedr naukowych a przecież są wszędzie braki i błędy, które trzeba i należy piętnować. Jest też wiele pięknych osiągnięć w pracy ZMP, w grupach studenckich, katedrach,

Są ludzie, którzy wyróżniają się w pracy — jest wiele dobrego, nowego, które warto i trzeba upowszechniać.

W celu polepszenia stylu pracy — trzeba we wszystkich radiowozach doprowadzić do jednoosobowego kierownictwa programowego, które zlikwiduje istniejący bałagan (zwłaszcza jeżeli chodzi o organizację audycji). Kierownik programowy powinien być odpowiedzialny za pracę całego zespołu przed Komitetem Uczelnianym PZPR. Zatwierdzenie ramowego programu umożliwi KU PZPR stałą współpracę z radiowozem i wpłynie na poprawę jego pracy.

Kierownik radiowozu Uniwersytetu Warszawskiego zastanawiał się kiedyś, czy nie należy ściślej powiązać pracy radiowozu z redakcją uczelnianego czasopisma. I tu jest drugi moment, który wpłynąłby wydawnie na poprawę stylu pracy. Wspólne uzgadnianie najistotniejszych, aktualnych zadań redakcji programowej radiowozu i pisma uczelnianego jest drogą do osiągnięcia większej operatywności obu organów.

Zastanawiający jest fakt, dlaczego w radiowozach uczelnianych nie pracuje nikt z aktywistów przeszkolonych na wczasokursie pracy kulturalno — masowej w Poznaniu. Działal tam wzorowy radiowóz, który po pierwsze nie bał się nikogo i niczego, a po drugie potrafił swymi audycjami stojącymi na bardzo wysokim poziomie zainteresować wszystkich. W Poznaniu były reprezentowane wszystkie uczelnie polskie, dlatego więc uczestnicy kursu nie zainteresowali się złą pracą radiowozów po powrocie na uczelnie, dlatego nie wyzyskali swych doświadczeń?

Niniejsza notatka nie rości sobie pretensji do miana problemowego artykułu. Nie starałem się w niej ukazywać i klasyfikować wszystkich błędów w pracy naszych radiowozów. Zależało mi jedynie na tym, aby ukazać kilka typowych przykładów i zastanowić się nad głównymi błędami. Chodziło mi tylko o pewien sygnał, na który powinny odpowiedzieć kolektywy radiowozów próbą nowych form pracy i osiągnięciem lepszych, niż dotąd, wyników.

ANDRZEJ GABRYŚ

Wiosna kocha się najmocniej

spotykam: „Szczęście jest tylko jedno, w wielkiej ciszy wielkiego kochania” („U źródła”).

Wciąż „kłócę się” zjadłem z pisarzem. Staję mi przed oczyma moje osobiste doświadczenia ostatniej wojny. Są okrutne. Dla wojny warto żyć? Dla wojny i powiedzieć niewiele. Ale też przecież „coś się już przeżyło” i w czło- wieku — na gruncie życiowego doświadczenia — rośnie bunt przeciw takim „złotym myślom”...

Bardzo zabawne rzeczy przydarzają mi się, kiedy przeglądam dziś „złote myśli” wypisane z książek parę lat temu i przypominam sobie, jak je wtedy oceniałem.

Oto drobne, a jak zobaczycie, dość chełpliwie wybrane przykłady. Trąfłem, czytając „Targowisko próżności” Thackeraya na taką myśl: „...ktoż jest wolny od iluzji wtenczas oświadczenia — rośnie bunt przeciw takim „złotym myślom”...

Bardzo mi się wtedy ta myśl podobała i sądziłem, że wyraża absolutną prawdę. Bo właśnie zdałem maturę na samych „dostatecznych”, a gorąco pragnąłem „bardzo dobrych”. Jakież były moje iluzje! Ze właśnie wyciągnę taki temat jaki najlepiej znam itd. itd.

A dziś? Gdy na IV roku zdaje któryś raz — nie doliczyć się już który egzamin — po prostu przyzwyczajenie się uczyć. Doświadczenia ostatecznie odebrały mi różnorakie iluzje — przynajmniej w tej dziedzinie...

Albo taka myśl z Rollanda, którą przez lata zachwycam się co niemiara. „Jestem dla siebie najlepszym przyjacielem i poszedłbym na koniec świata, by się z nim spotkać”

I wyobraźcie sobie, że dziś myśl ta nie napawa mnie już entuzjazmem. Wiele razy zdarzyło mi się więcej dbać o interes kolektywu, przyjaciela, czy drogiej dziewczyny, niż o własny! Co ważniejsze: taka postawa dawała mi głębsze zadowolenie niż egoizm. Dziś przytoczona „złota myśl” napawa mnie co najmniej obrzydzeniem wobec silnie tkwiącego w większości z nas elementu egoistycznego.

A znowu niektóre „złote myśli” poprzez się czy wdzięk artystyczny z jakim są wyrażone pomagają mi w tzw. codziennej działalności. Często pisząc coś, czy też przemawiając na zebraniu koła, posługuję się satyrą, a to dlatego ponieważ zapamiętałem sobie dobrze słowa Niemcewicza: „Śmieszność najstraszniejszą jest dla miłości własnej bronia i taka jest bojaźń onej iż częstokroć ludzie wolą być godni nagany aniżeli śmiechu”.

Wreszcie z ostatniej lektury „Eugeniusza Oniegina” bardzo mi się podobała strofka potwierdzona smutnym doświadczeniem stosunków początkującego „pisarza” z „sympatiami”:

„Błogosławiony los kochanka, Gdy siadzie skromnie u jej stóp I czyta na głos, a wybranka, W zadumie słucha jego prób: Błogosławiony... chociaż ona Najczęściej bywa roztargniona”...

...Zastanawiając się nad przyczy- nami mojej miłości do książek, przyszło mi to wszystko do głowy. Ze te „złote myśli” — uczą, każą myśleć, kombinować, spierać się itd.

I chociaż Dni Książki właśnie się zakończyły, chyba nie od rzeczy będzie ten drobny przyczynek — jak najbardziej propagandowy!

JÓZEF PODGAJNIAK

(Dokończenie ze str. 1)

Później Halina w jednym z listów do przyjaciół pisze o swoim pierwszym zwycięstwie: „Upadki były ogromne. Za mnie ani jedno prośbie jeszcze nie padło. Oczywiście, to nie wyłącznie moja zasługa, ale przecież obsługa nie zmieniła się. Troszkę ma tu do rzeczy wiosna”.

*

Tak, wiosna ma tu dużo do rzeczy. Do pokoju Haliny zaglądają już zielone gałęzie. Stary pałacowy park odżywa. Zapach kwitnących kasztanów roznosi się daleko po polach, które przemierza swymi drobnymi krokami, ot prawie jeszcze dziewczyneczka — zootechnik Halina Senderowska.

Na przednich polnych drogach, kiedy zagląda do buraków, planuje najpilniejsze roboty, na termin przygotowuje siewy i rysuje wielkie strategiczne plany obrony przed szkodnikami — jest i czas na dalsze bardzo różnorodne marzenia. Wyobraźnia podsuwa gigantyczne plany uprawy, kołyszą się już przed oczyma złoście zboża, właśnie te najpiękniejsze. Znikają ugory, a trawy na pielegnowanych łąkach w fantazji zootechnika osiągają niespotykaną wysokość. A później przychodzi tęsknota za kimś bardzo droгим, za miłością, która chyba już przyszyła. I trochę smutno, że ten ktoś jest teraz bardzo daleko, gdzieś o kilkaset kilometrów, w zupełnie innej stronie kraju.

W ten najpiękniejszy czas roku — wiosną — kocha się przecież najmocniej i tęskni najdotkliwiej i świat chciałoby się przewracać

i odmieniać aż do doskonałości. Halina zdaje sobie sprawę, że tutaj, na pierwszej praktyce, jest jakieś wielkie pole do realizacji tych marzeń. Czuje, że wraz z jej przybyciem zaczyna kielkować w gospodarstwie coś nowego.

Kierownik coraz uważniej przysłuchuje się jej zdaniu, ludzie chętniej wychodzą do pracy. W świetlicy jest teraz ludniej, przychodzi coraz więcej młodzieży. Halina potrafi jakoś pozyskać sobie ludzi. Na długo po jej wyjeździe z praktyki zostanie tu dla niej nie tylko gorąca przyjaźń sąsiadów, ale jakiś trwały ślad pracy zootechnika, który wprowadził wiele lepszych, racjonalniejszych sposobów gospodarowania.

Dziś Halina jest jeszcze na praktyce. Przychodzą do niej listy do koleżanek w Warszawie i ha uczelnię. Pisze o swojej pracy, czuje jej wielką wagę i potrzebę podzielenia się swoim doświadczeniem z towarzyszami.

Pisze nie tylko o sobie, ale i o innych kolepkach; o Staszku Grudniaku, który w sąsiednim Gościńcu „dokonuje „cudów”. Staszek broni w swoim gospodarstwie pół przed kłaską szkodników i nowoczesnymi metodami uprawy chce wydobywać z ziemi największe skarby. I Staszek — marzyciel, budowniczy Domu Kultury — oprócz skarbów ziemi wydobywa skarby z ludzi. Zakłada w Gościńcu koło ZMP z młodzieży, o której ustaliła się opinia, że nie z nią zrobić nie można. Przychodzą — o dziwo — na zebrania, ćwiczą w nowozałożonym LZS i przygotowują się do zorganizowania zespołów arty-



Rys. Jerzy Cwiertnia

stycznych. Staszek często myśli o Zabiance i nie zapomina swoich pierwszych marzeń.

Po 3-miesięcznej praktyce potrafił już zdziałać tyle, że wybrano go delegatem na wojewódzką konferencję ZMP w Koszalinie — w jego zaledwie 3-miesięcznej, a już niemal rodzinnych stronach.

*

Praktyki studenckie skończyła się za cztery miesiące, Staszek i Halina wróca do Warszawy na uczel-

IRENA WANIEWICZ

TAJEMNICE BOMBY H

Historia energii atomowej zaczęła się wcześniej, niż miały miejsce wybuchy w Hiroshimie i Nagasaki. Już w latach przedwojennych w czasopiśmie naukowym ukazywały się artykuły, w których autorzy opisują możliwość budowy nowego źródła energii o niezwykłym dla ludzkości znaczeniu.

Przewidywano, że wyzwolenie energii z jąder atomów ciężkich może nastąpić w sposób eksplozywny i źródło takie mogłoby spełniać rolę niezwykle groźnej w skutkach bomby. Ale jeżeli wyzwolenie energii nastąpi w sposób stopniowy, kontrolowany przez człowieka — wówczas źródło takie może stanowić generator energii o dowolnie wielkiej mocy. Prawdziwi, uczeni naukowcy snuli plany wykorzystania energii atomowej dla dobra ludzkości.

Dziś plany takie zaczyna się już realizować w Związku Radzieckim. A podporządkowani monopolom uczeni z USA skierowali wykorzystanie energii atomowej na inne tory...

Reakcje jądrowe zachodzące przy wybuchu bomby wodorowej są w pewnym stopniu obrazem przemian jądrowych zachodzących w gwiazdach, do których oczywiście zaliczamy i słońce. Mówiąc językiem bardziej trywialnym możemy powiedzieć, że bomba wodorowa — to mikrośłońce zbudowane przez człowieka na ziemi.

ZAJRZYJMY DO ATOMU

Wiemy, że wszystkie otaczające nas ciała materialne zbudowane są z cząstek chemicznych, a te znowu składają się z atomów różnych pierwiastków, których ilość w przyrodzie nie przekracza stu. W skład każdego atomu wchodzi centralne, masywne jądro, które otoczone jest lekkimi, krążącymi wokół niego elektronami.

Jądro atomu zbudowane jest z kolei z protonów i neutronów, przy czym liczba tkwiących w jądrze protonów równa się liczbie zewnętrznych elektronów i wyznacza charakter chemiczny danego atomu. Natomiast liczba neutronów w jądrze atomu danego pierwiastka jest zbliżona do liczby protonów, jednak nie w każdym przypadku jest jednakowa. Atomy, których jądra posiadają jednakową liczbę protonów, ale różne ilości neutronów nazywamy **izotopami** danego pierwiastka.

Weźmy konkretny przykład: **atom wodoru**. Jądro tego atomu zbudowane jest z jednego protonu i może zawierać dodatkowo zero, jeden lub dwa neutrony (na zewnątrz jądra w każdym z tych trzech przypadków krąży oczywiście tylko jeden elektron). Te trzy atomy izotopów wodoru nazywamy kolejno atomami: wodoru lekkiego, deuteru (wodoru ciężkiego) i trytu.



Amerykańscy agresorzy chcą zastraszyć ludzkość reklamując takie oto ćwiczenia z bronią atomową. Ostrożnie panowie — kij ma dwa końce!

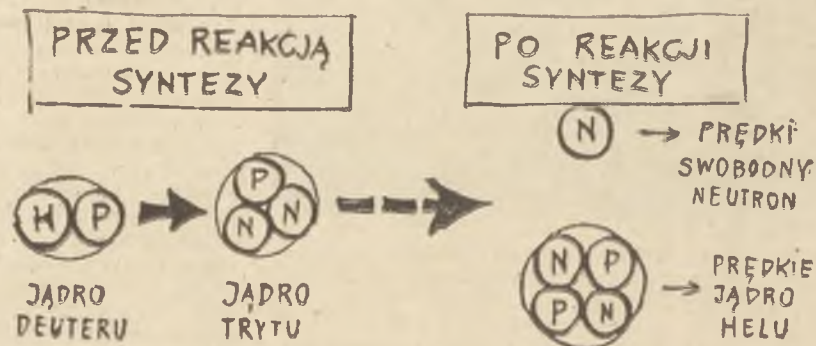
Innym przykładem może być **atom uranu**. Jądro jego zawiera zawsze jednakową ilość protonów (92), lecz poza tym dodatkowo pewną ilość neutronów. Neutronów tych może być np. 146, 145, 143 itp., a przez to w każdym z podanych przypadków ciężar atomu uranu jest inny. Ciężar ten określamy tzw. **liczbą masową**, która jest po prostu sumą wszystkich zawartych w jądrze protonów i neutronów. Izotopy omawianego uranu określamy więc następującymi liczbami masowymi: 238 (92 + 146 = 238), 237, 235. Stąd też chemiczne określenia: U 238, U 237, U 235 itp.

WYZWALAMY WIELKĄ ENERGIĘ

Jądra izotopów uranu posiadające dużą liczbę masową należą do grupy jąder ciężkich, których charakterystyczną cechą jest to, że wykazują **zdolność do rozpadu**. Jądro takiego atomu zbombardowane przy pomocy neutronu rozszczepia się na dwie w przybliżeniu równe, ale różne części oraz dwa lub trzy swobodne neutrony, które powodują rozpad dalszych jąder dając w ten sposób tzw. łańcuch rozszczepień.

Reakcje tego typu zaliczamy do **reakcji jądrowych**. To właśnie one są m. in. źródłem energii gwiazd. Fizycy znają — jak dotychczas — dwie zasadnicze grupy reakcji jądrowych, które mogą dostarczyć nam energii. Przykładami tych dwóch grup są reakcje jądrowe zachodzące w tzw. bombie atomowej i w bombie wodorowej.

Termin „**bomba atomowa**” został ukształtowany wraz z zbudowaniem bomby uranowej i plutonowej, stąd powszechnie jest przywiązany wyłącznie do tego typu bomby. Jest to powiązanie niesłuszne, gdyż termin ten może określać również



Schemat reakcji zachodzącej w bombie wodorowej.

dobrze bombę wodorową, której istotą są również reakcje jądrowe.

WYSTARCZY GRUDKA U 235

Warunkiem wybuchu bomby uranowej jest istnienie kawałka czystego uranu metalicznego, składającego się wyłącznie z atomów izotopu U 235, ale o masie większej od tzw. **masy krytycznej**. Jeżeli bowiem masa danego kawałka ma wartość podkrytyczną, wówczas reakcja łańcuchowa wewnątrz substancji nie może zająć w sposób spontaniczny.

W tym bowiem przypadku ilość produkowanych przez rozszczepienia neutronów jest mniejsza niż ilość neutronów uciekających poza zewnętrzne granice bryłki uranu. Mówiąc inaczej wyprodukowany przy rozszczepieniu neutron ma większe prawdopodobieństwo ucieczki poza granice zewnętrzne bryłki uranu, niż prawdopodobieństwo napotkania na swej drodze jądra uranu 235, które mogłoby zostać rozszczepione, przez zderzenie.

A zatem bomba uranowa to nie innego, jak dwa oddzielne kawałki uranu 235, każdy o masie podkrytycznej, lecz o łącznej masie ponadkrytycznej, które doprowadzone gwałtownie do zetknięcia powodują eksplozję. Wywołanie rozszczepienia pierwszego jądra U 235 w tej masie zachodzi bez specjalnego „zapalnika”.

W BOMBIE H — INACZEJ

Na innych zasadach opiera się konstrukcja bomby typu wodorowego. Tu źródłem energii nie jest pękanie jąder ciężkich, lecz **synteza (łączenie się) jąder lekkich w jądra cięższe**, np. jąder wodoru w jądra helu. Procesy te — odmienne w swej kierunkowości — najłatwiej przeprowadzić dla pierwiastków najlżejszych względnie najcięższych, i dlatego też na skalę techniczną przeprowadzono je do tej pory tylko dla uranu (względnie plutonu) i wodoru.

Jak już wiemy — w bombie uranowej kolejne pęknięcia jąder uranu 235 wywołują neutrony, a więc cząstki ciężkie i pozbawione ładunku elektrycznego. W bombie wodorowej natomiast warunkiem syntezy jąder jest **wzajemne zbliżenie się do siebie dwóch różnie zbudowanych jąder wodoru**, a więc jąder tego samego izotopu. Jądra te posiadają jednak jednoimienne, dodatnie ładunki elektryczności i wskutek tego wywierają na siebie znaczne siły odpychające. Aby można było wystarcząco je do siebie zbliżyć — należy zaopatrzyć je w dużą energię kinetyczną, która pomoże im pokonać te siły odpychające.

Fizycy znają laboratoryjne metody udzielania cząstkom dużej prędkości np. przy pomocy akceleratorów (potężne urządzenia do przyspieszania ruchu zjonizowanych atomów). Wydajności uzyskane przy pomocy akceleratorów są jednak stosunkowo małe i dlatego dla budowy bomby wodorowej zastosowano metodę **wysokiej temperatury**.

W wysokiej temperaturze tzw. ruch termiczny cząstek staje się bardzo intensywny i jest wystarczający do tego, by jądra mogły się zbliżyć do odległości, która jest konieczna do ich syntezy. Jako źródło wysokiej temperatury w bombie wodorowej zastosowano zwykłą bombę uranową, której temperatura w momencie wybuchu wynosi około 50 milionów st. C.

Reakcje jądrowe uwarunkowane wysoką temperaturą nazywamy **reakcjami**

termojądrowymi. Jak wykazują teoretyczne badania — najekonomiczniejszą reakcją termojądrową w rodzinie atomów wodoru jest reakcja syntezy pomiędzy jego ciężkimi izotopami: deuterem i trytem. I te właśnie dwa izotopy są stosowane przy budowie bomby wodorowej.

NIEBEZPIECZNA RÓŻNICA

Bomba wodorowa jest zatem zwykłą bombą uranową lub plutonową otoczoną pewną ilością ciężkich izotopów wodoru. Dodatkową trudność techniczną stanowi tutaj produkcja deuteru i trytu na dużą skalę, jednak trudność ta jest już pokonywana. Pierwszy z tych izotopów otrzymuje się drogą elektrolizy, drugi zaś przy pomocy reaktorów atomowych.

Pomiędzy bombą uranową a wodorową, poza różnicą typów reakcji jądrowej, istnieje jeszcze inna zasadnicza różnica — natury eksplozywności. Mianowicie efekt destrukcyjny bomby uranowej jest w przybliżeniu **zawsze taki sam** i praktycznie nie zależy od ilości użytego do reakcji uranu, gdyż przy każdym jej wybuchu w reakcji bierze udział w przybliżeniu zawsze taka sama ilość jąder uranu.

Natomiast w bombie wodorowej siła wybuchu jest zależna od ilości użytych izotopów deuteru i trytu, stąd praktycznie może być **nieograniczona**. I w tym właśnie tkwi największe niebezpieczeństwo tej bomby dla ludzkości.

mi materii. A to oczywiście nie oznacza, że masa lub energia są materią.

Promieniotwórczość jest więc częścią naszego świata materialnego i wytwarzanie jego w reakcjach jądrowych zupełnie nie świadczy o rzekomej transformacji materii w energię. **Zgodnie z teorią względności każda masa reprezentuje energię i każda energia reprezentuje masę**. Elementy przestrzeni, które posiadają energię posiadają zatem i masę.

Masa nie „zniknęła” więc w reakcji. Korzystając z zależności Einsteina na równoważność masy i energii dochodzimy łatwo do wniosku, że prawo zachowania energii w tym procesie jest również spełnione.

„ATRAKCYJNE” POMYSŁY

Naukowe prognozy z lat przedwojennych spełniły się. Ale wraz z narodzinami metody wyzwiania energii z jądra atomowego została zagrożona cała kultura ludzka. Jedno z największych odkryć geniuszu człowieka stało się częstym łupem nowoczesnych Barbarów. Barbarowie z USA tak jak starożytni ich imiennicy, pragną wojny, bowiem wojna przynosi im zyski, wojna może uchronić ich ustrój wyzysku od kryzysów.

Tak jak starożytni Barbarowie żerowali na śmierci innych ludzi, tak współcześni — opierając swoją egzystencję na planach niszczenia — budują bomby uranowe, plutonowe, wodorowe. W swoich laboratoriach stawiają oni naukowcom takie tematy do opracowania: ustalić typ bomby atomowej, która da maksymalny promień zniszczenia; ustalić rodzaj wybuchu, który wyprodukuje maksymalną ilość pyłu promieniotwórczego itp.

Kandydaci na likwidatorów kultury dają pomysły coraz bardziej „atrakcyjne”. Ostatnio któryś z nich zaproponował, ażeby wyprodukowane bomby otaczać kobaitem. „Wspaniała” myśl! Przy eksplozji początkowo niegroźny kobalt przechodzi w izotop promieniotwórczy, który po wybuchu „dodatkowo” uniemożliwi przebywanie na atakowanym terenie przez kilkanaście lat!

KIJ MA DWA KOŃCE

Projektodawcy ci zapominają, że miecz ten łatwo może być zwrócony przeciw nim samym. I to nie tylko dlatego, że nie mają już oni monopolu na broń atomową.

Ostatnio stwierdzono, że zakażenie terenów promieniotwórczością zachodzi po wybuchu w sposób nie kontrolowany przez człowieka. Promieniotwórczy deszcz, śnieg lub pył może opaść w dowolnym, przypadkowym miejscu na ziemi — może więc również opaść na burtę sztabów, które wydałyby rozkaz agresji atomowej.

W marcu br. Stany Zjednoczone dokonały na Pacyfiku (w okolicy wyspy Eniwetok) próbnych eksplozji bomby wodorowej. Bomby małej, której zasięg działania miał być ograniczony do niewielkiego pola oceanicznego. Wybuchy wykazały jednak, że eksperymenci nie docenili rozmiarów eksplozji i kierowanie jej skutkami nie może być kontrolowane w sposób ścisły.

Od wybuchu bomby wodorowej na Pacyfiku zginęło nie tylko 300 rybaków japońskich i mieszkańców wysp oceanicznych, ale ofiarami tego eksperymentu stało się również około 30 obserwatorów amerykańskich, którzy — jak należy się domyślać z przygotowań — byli w dostateczny sposób zabezpieczeni przed promieniowaniem gamma i neutronami. Jak się okazało kurz promieniotwórczy nie odróżnia koloru skóry mieszkańców ziemi.

*

Echo zbrodniczych praktyk amerykańskich na Pacyfiku znalazło na całym świecie bardzo silne odbicie. Przeciwno stosowaniu reakcji jądrowych do budowy środków masowej zagłady protestują wszystkie prawie kraje: Japonia, Wielka Brytania, Francja, Polska, Włochy, Pakistan, Indonezja i wiele, wiele innych. Protestuje przede wszystkim Związek Radziecki, który opanował zresztą technikę budowy bomby wodorowej. Protestują uczeni, profesorowie: Joliot-Curie, Infield, Bernal, profesor Powell z Bristolu.

Cale narody stoją dziś w obronie ogólnoludzkiej kultury i wbrew amerykańskim agresorom domagają się wprowadzenia zakazu broni masowej zagłady oraz ustanowienia skutecznego systemu kontroli międzynarodowej nad tym zakazem.



W chwili wybuchu bomby atomowej zrzuconej przez lotnictwo USA na Hiroszimę człowiek ten znajdował się w znacznej odległości od miejsca eksplozji, dzięki czemu ocalał. Ale zabójcze promienie sięgają daleko: skóra tego człowieka do końca jego życia będzie jedną wielką raną.



Wstrzymać zbrodnicze eksperymenty atomowe! Domagają się tego od władz USA ludzie całego świata. Na zdjęciu: demonstracja przeciwko broni atomowej w Sztokholmie.



Zamieszczone powyżej fotografie przedstawiają kolejne fazy rozwoju chmury promieniotwórczej wytworzonej przy wybuchu pierwszej próbną bomby wodorowej zrzuconej w listopadzie 1952 roku na wyspie Elugelab na Pacyfiku. Bomba ta pozostawiła na miejscu wyspy krater o średnicy 1,7 kilometra i głębokości 50 metrów — wypełniony wodą morską.

Widoczna na zdjęciu chmura promieniotwórcza po upływie dwóch minut od chwili detonacji osiągnęła wysokość ok. 12 kilometrów, zaś po upływie dalszych 10 minut szczyt chmury promieniotwórczej wzrósł do około 40 kilometrów. W połowie swojej wysokości grzyb utworzony z chmury zaczął się rozprzestrzeniać poziomo sięgając średnicy ok. 160 kilometrów (1 mila ang. — 1609 metrów).

Międzynarodowe Zawody Szybowcowe

Leszno 13 — 27 czerwca



Foto: CAF

Pierwsza konkurencja: przelot szybkościowy na trójkacie (105,5 km) przyniósł wielki sukces polskiemu szybowcowi, który zwyciężył zespołowo przed drużynami Węgier, CSR, ZSRR. W klasyfikacji indywidualnej triumfował Skrzydlewski, a ponadto jeszcze 13 Polaków znalazło się w pierwszej piątce. Wanda Szemplińska (na zdjęciu) walczy z najlepszymi pilotami 9 krajów zajęła trzecie miejsce.

Jubileusz

Szef krakowskiego „Ognia” huczał od braw. Były one nagrodą dla warszawianki Kozłowskiej, która osiągnęła w dysku 44,67 m. Po chwili oczy wszystkich zwróciły się na skocznice, gdzie Białkowska przeszła wysokość 1,51 m i atakowała rekord Polski; później ostatecznie 5,77 m. skoku w dal Marysi Kusion.

A Jurek Pawłowski siedział nie wzruszenie na trybunie i coś pisał na kartce papieru. Nie klaskał, nie emocjonował się walką na bieżni czy rzutni.

— Co robisz? — spytałam. — Piszę dla ciebie historię naszego AZS. Przecież dziś obchodzimy 30 rocznicę powstania sekcji. — Przerwij teraz — zaproponowałem. — Opowiedz mi wszystko wieczorem, po zawodach. Pomyślał chwilę, spojrzął na zapisaną kartkę, złożył ją we czworo i schował do kieszeni. Za chwilę bił brawo i donośnie: „tempo!”, odrabiał okres bumelancja. dopingując Srokównę z krakowskiego AZS wygrywającą bieg na 400 m.

Szliśmy powoli przez krakowskie Blonia w stronę śródmieścia. Jurek spojrzał na mnie i mruknął: — Nawet papieru nie masz. Jak będziesz notował? — Zapamiętam — odpowiedziałam. — Zapamiętasz?... Na pewno wszystko pomyślisz. Ale mimo tych zastrzeżeń zaczął mówić. — Sekcja lekkoatletyczna krakowskiego AZS powstała w 1924 r. z inicjatywy zapaleńca sportowego dr Rudolfa Krajewskiego. Pierwszym kierownikiem sekcji został Mieczysław Boczar. Miał on w sekcji wielu uzdolnionych zawodników jak Rechowicz, Galica, Antes — co, kiedy nie było sprzętu.

Na miesiąc przed wielkim startem

Obecnie mamy już drugą połowę czerwca. Do wyjazdu na Akademickie Mistrzostwa Świata pozostało niewiele ponad miesiąc. Nadszedł czas, by wznowić treningi i szlifować swą formę. A oto co mówią na ten temat przodujący sportowcy AZS: K. FABRYKOWSKI — AZS Gliwice Student III roku Politechniki Śląskiej. Skok wzwyż 1,86. Bardzo chciałbym pojechać do Budapesztu. Przypomnę sobie, że tak właśnie opracowaliśmy z trenerem. Nasaliliśmy plan treningowy, aby osiągnąć szczytową formę w końcu lipca. Chcę osiągnąć po rekord Polski, który od roku 1932 należy do Pławczyka i wynosi 196 cm. I nad tym pilnie pracuję. JADWIGA BIAŁKOWSKA — AZS Poznań WSWF Poznań Skok wzwyż 1,51 m. Trenuję, trenuję i jeszcze raz trenuję. Marzę o udziale w Akademickich Mistrzostwach Świata — bardzo chciałabym móc reprezentować polski sport studentki w walce o tytuły Akademickich Mistrzów Świata. Skoczyłam w tym roku 1,51 i bardzo chcę osiągnąć... 1,53 m, co jest wynikiem lepszym od rekordu Polski. Z wynikiem 1,53 mogłabym już walczyć jak równymi z najlepszymi studentkami — zawodniczkami świata o zaszczytne medale. A to byłoby dla mnie największym szczęściem.

LAURENTOWSKI — AZS Poznań Student WSWF Poznań Trójskok 14,80 m. Słyszałem wiele od kolegów o wspaniałych Igrzyskach w Berlinie, o porywającej walce najlepszych studentów o tytuły Akademickich Mistrzów Świata. Chciałbym zmierzyć w Budapeszcie swoje siły. Na razie trenuję, co z tego wyjdzie — zobaczymy. Pierwszym egzaminem będzie start w Warszawie na wielkich międzynarodowych zawodach lekkoatletycznych, potem AMP... W tym roku brałem udział we wszystkich eliminacjach: od zawodów grup studentek do Spartakiady Okręgowej AZS w Poznaniu, gdzie uzyskałem 14,32 m. Ostatnio poprawiłem ten wynik (14,80 m) i zobowiązałem się przed swymi kolegami, że nie ustąpię w pracy, aby zasłużyć na reprezentowanie studentów polskich w Budapeszcie. — My pragnęlibyśmy wysłać do Budapesztu tych, którzy rzetelnie pracują nad sobą. Z tym zdaniem spotkałem się wielokrotnie. Tak powiedzieli mi i koledzy Kazimierz Fabrykowski, których on właśnie zachęca do uprawiania sportu, których uczy i którym pomaga, organizując masowe zawody lekkoatletyczne na śląskich uczelniach. Przygotowują się wszyscy. Wszyscy czekają, wszyscy marzą o Budapeszcie. Zjemy im razem z ich najbliższymi kolegami i przyjaciółmi jak najlepszych wyników w kraju, aby zdobyli awans do Akademickiej Reprezentacji Polski. ANDRZEJ GABRYS

Lotnisko w Lesznie przybrało odświętny wygląd. Na masztach powiewają flagi dziewięciu państw biorących udział w zawodach, Międzynarodowej Federacji Lotniczej SAI, oraz niebieskie flagi pokoju. „W szlachetnej rywalizacji sportowej — pogłębiajmy przyjaźń między narodami” — głosi wielki niebieski transparent. Komitet Organizacyjny zaprosił do udziału w zawodach, które odbywają się w 10-tą rocznicę powstania Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, szybowników ZSRR, Anglii, Bulgarii, Czechosłowacji, Francji, NRD, Rumunii i Węgier. Wśród reprezentantów Aeroklubu PRL znajdują się znani na całym świecie piloci — szybownicy, jak Jerzy Wojnar, student Politechniki Krakowskiej, Jerzy Popiel, student Politechniki Warszawskiej, Edward Makula, student Wieczorowej Szkoły Inżynierskiej w Stalinogrodzie oraz Wanda Szemplińska, studentka Politechniki Warszawskiej.

a-g-a

Na górskie szczyty

Dzisiejszy fotoreportaż poświęcamy wędrownikom pieszym. Pisaliśmy już o nich w 21 numerze naszego pisma. Forma czasów wędrownych zyskuje sobie z każdym rokiem coraz więcej zwolenników. Najbardziej atrakcyjną ich cechą jest to, że obok wypoczynku dają uczestnikom szerokie możliwości poznania piękna i historii swego kraju. Nie trzeba chyba dodawać, że wędrowki wymagają pewnego wysiłku fizycznego, który jednak w ostatecznym rachunku sownie się opłaca. Spróbujmy — na razie przy pomocy zdjęć — udać się na trasy.



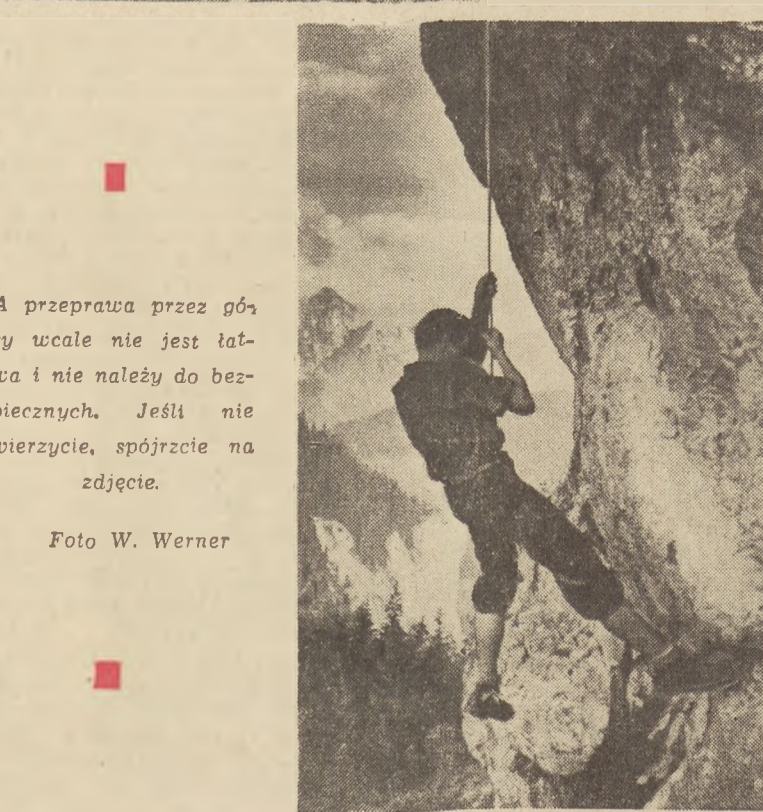
Równie i sprawnie pracują nogi. Dobrze umocowany ekwipunek nie sprawia kłopotu, chociaż trasa nierzadko prowadzi przez lasy, pola i hale porośnięte bujną i ostrą trawą górska.

Foto Myszkowski



Tutaj odpocznijmy. Trzeba nabrać sił do przebycia wyrostłych przed nami skał.

Foto W. Werner.



A przeprawa przez góry wcale nie jest łatwa i nie należy do bezpiecznych. Jeśli nie wierzycie, spójrzcie na zdjęcie.

Foto W. Werner

Haladas — węgierski AZS

(Korespondencja własna z Budapesztu)

Jedziemy przez Dunaj pięknym mostem łańcuchowym Lanchid, odbudowanym w identycznym stanie w jakim był przed wysadzeniem go w powietrze przez hitlerowców. Wielkomiński Pest został za nami; przejeżdżamy tunel, nad którym na górze wznoszą się wypalone ruiny pałacu Horthyego (kiedyś w 500 pokojowym gmachu mieszkała jedna rodzina tego przyjaciela Hitlera, obecnie projektuje się przeznaczyć pałac po odbudowie na dom studentki).

Południowa część stolicy Węgier — Buda położona jest na malowniczych wzgórzach, wśród pięknych lasów i ogrodów. Wkrótce jesteśmy u celu podróży, samochód zatrzymuje się przed obszernym gmachem Testnevelesi Foiskola (odpowiednik naszej Akademii Wychowania Fizycznego). Tu znajduje się najsilniejsze na Węgrzech koło sportowe zrzeszenia Haladas, skupiającego młodzież akademicką.

Wkrótce siedzimy w pokoju starszego asystenta TF, milej, uśmiechającej brunetki, Agnes Keleti. Tak, tej samej, o której myślicie. Agnes Keleti to jedna z najsłynniejszych

gimnastyczek świata. Na olimpiadzie w Helsinkach zdobyła złoty medal w ćwiczeniach wolnych, brązowy na poręczach oraz srebrny za zajęcie przez zespół Węgerek II miejsca w konkurencji drużynowej i brązowy za zespołowe ćwiczenia w układzie własnym. Keleti to wielokrotna mistrzyni Węgier i akademicka mistrzyni świata.

W TF Keleti szkoli nowe kadry instruktorów wychowania fizycznego, służąc jednocześnie swym bogatym doświadczeniem gimnastykom-studentom. 31-letnia Agnes znana jest z tego, że opiera układ swoich ćwiczeń gimnastycznych na naukowo opracowanych metodach. Po raz pierwszy wzięła udział w zawodach mając 15 lat, a już w 16 roku życia powołano ją do reprezentacji państwowej. W latach wojny nie mogła uprawiać ulubionego sportu, ale natychmiast po wyzwoleniu Węgier przez Armię Radziecką rozpoczęła intensywne treningi i już wkrótce zajmuje miejsce w ekstraklasie gimnastyczek świata.

Rozmawiam z Keleti o węgierskim sporcie akademickim. Haladas należy do czołowych zrzeszeń tego kraju i gromadzi 17.000 sportowców w 32 kolach. Oczywiście najsilniejszym środowiskiem jest Budapeszt, w którym znajduje się kilkanaście szkół akademickich. Testnevelesi Foiskola odgrywa pierwszoplanową rolę, ale niewiele ustępuje jej Ulliszaki Egyetem (politechnika), posiadająca przede wszystkim wspaniałą drużynę koszykówek — mistrzowski zespół Węgier. Większość reprezentacyjnego składu Węgier w koszykówce (ostatnio i w tej dziedzinie Węgrzy odnieśli wielkie sukcesy, stając się poważnym rywalem koszykarzy radzieckich) — to studenci politechniki budapeszteńskiej.

Dobrych sportowców-akademików posiada również słynna Akademia prawnicza Eotvos Horand Tudomanyegyetem. Z tej uczelni pochodzi Miklos Szabo, czołowy węgierski długodystansowiec, zwycięzca Chromika w biegu na 5000 m. Także Akademia Agrarna oraz Wyższy Instytut Pedagogiki w Budapeszcie posiadają w swoich szeregach wybitnych sportowców.

Pytam Keleti o nazwiska znanych sportowców-akademików. Okazuje się, że młodszym kolegą Agnes z TF jest utalentowany młotacz kulą (jeszcze niedawno junior) Mihalyfi. Również doskonały dyskobol (stałe przekraczający 50 m) Szecsenyi jest członkiem TF Haladas. Wśród lekkoatletek wyróżniają się akademicki Instytut Pedagogiki — Sebes (kula) Benkovic (80 m płotki).

Poza Budapesztem silny ośrodek sportu akademickiego to Szeged (z Szegedi Haladas pochodzi Kun, rekordzista Węgier w chodzie).



Agnes Keleti

Sport akademicki na Węgrzech cieszy się dużym poparciem ludowego państwa. Państwo przeznacza poważne fundusze na wychowanie fizyczne na wyższych uczelniach, dostarcza potrzebne wyposażenie sportowe, trenerów, dba o budowę boisk i terenów sportowych przy każdej uczelni. Młodzież akademicka Węgier z wielkim zaangażowaniem uprawia sport, tworząc masową bazę, z której liczni utalentowani lekkoatleci, pływacy, gimnastyści, czy koszykarze wychodzą do kadry narodowej.

Keleti przypomina, że Budapeszt już po raz drugi po wyzwoleniu otrzymał od Międzynarodowego Związku Studentów mandat organizowania Letnich Akademickich Mistrzostw Świata. W 1949 roku odbyły się w stolicy Węgier X Igrzyska, a wkrótce przybędzie tu młodzież z całego świata, aby wziąć udział w XII Igrzyskach.

W X Igrzyskach Akademickich w Budapeszcie po raz pierwszy wzięli udział sportowcy radzieccy, zdobywając wówczas pierwsze miejsce z 48 złotymi medalami. Keleti wspomina szczególnie doskonałą ekipę lekkoatletek radzieckich z Dumbadze, Czudiną i Smirnicką na czele. Węgierscy akademicy zajęli wtedy drugie miejsce z 46 złotymi medalami. (Dla Polski zdobył wówczas mistrzowski tytuł: Adamczyk w skoku w dal. Sławczyk na 200 m oraz Kocerka w wioślarstwie.)

Do XII Letnich Akademickich Mistrzostw Świata sportowcy węgierscy przygotowują się jak zawsze starannie i spodziewają się i tym razem osiągnąć cenne sukcesy.

Po godzinie milej rozmowy żegniam się z Keleti. Na korytarzu TF mijam grupę roześmianych piłkarzy. To drużyna pierwszej ligi Szegedi Haladas (proszę, proszę, a u nas piłkarstwo jest tak mało popularne na wyższych uczelniach).

J. JABRZEMSKI



Podczas jednodniowego postoju w cichej, odległej wiosce góralskiej większość uczestników odpoczywa. Są jednak i tacy, którzy nie rezygnują ze zwiedzania każdego zakątka tej malowniczej krainy.

Foto Przybyłowicz



O czym mówią te roześmiane twarze? Mówią, że warto wybrać się w góry. A więc za tydzień wyruszamy.

Foto Wionczek